



**Margaret Way**



*Uparty narzeczony*

## *ROZDZIAŁ PIERWSZY*

Przy samym tylko świetle gwiazd Ross Sunderland oraz tropiciel Joe Goolatta wiedli przez australijski busz przerażonego żółtodzioba, który zaginął poprzedniego popołudnia. Ogromne nietoperze zwisały z konarów niczym wampiry, co chwila coś przelatywało nad głowami, węże prześlizgiwały się po ziemi lub, gotowe do ataku, czaiły się w gałęziach. Ross i Joe poruszali się bezszelestnie, za to siedemnastoletni Ben Rankin pojękiwał nieustannie, potykając się o korzenie i lękając się każdego dziwnego odgłosu, który dobiegał z ciemności.

- Spokojnie, Rankin. - Ross Sunderland bodaj setny raz chwycił go za ramię, chroniąc przed upadkiem. - Już prawie jesteśmy na miejscu.

Skąd on może to wiedzieć w tych ciemnościach, zdziwił się w duchu chłopak. Pewnie ma kocie oczy.

Wreszcie wyszli na polanę, na której stał dżip, a Ben prawie przetarł oczy ze zdziwienia. Jak ci dwaj zdołali trafić tak idealnie?

- No to robota wykonana - rzekł z satysfakcją Aborygen i spojrzał w niebo. - Na moje oko dochodzi czwarta. Zaraz zacznie świtać.

- Czyli pora wstawać do roboty - odparł kpiąco Ross, wpychając na tylne siedzenie trzęsącego się z ulgi i zmęczenia Bena.

- Boże, jaki ja byłem głupi! - Chłopak zakrył twarz dłońmi i rozplakał się.

- A pewnie, że byłeś, mały - orzekł Joe.

- Wyciągnij z tej swojej głupoty wnioski - uciął Ross, który nie miał zwyczaju okazywać jakichkolwiek emocji, gdyż uważał to za stratę czasu.

- Tak, psze pana - powiedział Ben przez ściśnięte gardło. - Cały czas myślałem, że zeżre mnie jakiś cholerny krokodyl.

Joe Goolatta tylko prychnął z politowaniem, natomiast Ross zauważył suchym tonem:

- Nie ma tu żadnej rzeki.

Nie zamierzał rozczulać się nad chłopakiem, który, podobnie jak pozostali nowi pracownicy, odsiedział swoje na szkoleniach, na których wbijano do głowy reguły postępowania. Żadnego pętania się samotnie po nieznanym terenie. Większość miała dość oleju w głowie, by stosować się do tych zaleceń, gdyż niektóre australijskie rancza były tak wielkie, jak niejedno europejskie państwo, w dodatku każde miejsce przypominało dziesiątki innych, więc bardzo łatwo było zabłądzić. Ścisłe przestrzeganie zasad bezpieczeństwa nieraz stanowiło o życiu lub śmierci. W ciągu minionych lat kilku zbyt pewnych siebie śmiałków zaginęło bez wieści.

- Kiedy zrozumiałeś, że zabłądziłeś, powinieneś być zostać na miejscu i czekać na ratunek, zamiast pchać się dalej - dodał Ross. - Znaleźlibyśmy cię znacznie szybciej.

- Przepraszam. Naprawdę przepraszam - jęknął zgnębiony własną głupotą chłopak. - Nie wiedziałem, że to taka dzicz! Wygląda jak raj na ziemi, ale wystarczy zejść z ubitego szlaku...

- No to masz nauczkę i pamiętaj o niej, kiedy znowu najdzie cię ochota, żeby się popisać. Na drugi raz nikt nie będzie marnować czasu, by wyciągać cię z kłopotów, i będziesz musiał sam znaleźć drogę do domu. Odeśpij swoją przygodę, Rankin, a do pracy przyjdź po południu. Oczywiście jeśli nadal chcesz u mnie pracować.

Chłopak rozpaczliwie próbował pozbierać myśli, chociaż nadal cały się trząsał. Nigdy dotąd nie znalazł lepszej pracy i fajniejszego szefa, który przypominał mu Indianę Jonesa i który nigdy nie okazywał strachu. Nie bał się nawet wtedy, kiedy spanikowane stado bydła pognało przed siebie, gotowe stratować wszystko na swej drodze. To byłoby okropne, gdyby tak fantastyczny gość wylał go z roboty.

- Chcę, psze pana. Dziękuję.

- Mam prowadzić, szefie? - spytał Joe, jak zwykle troszcząc się o wspaniałego młodego mężczyznę, nad którym czuwał, gdy ten był jeszcze dzieckiem.

- Prześpij się trochę. - Ross usiadł za kierownicą. - Czeka nas ciężki dzień, a wieczorem mam ważne spotkanie w Darwin.

- Z tym znanym fotografem?

- Tak. Teraz fotografowanie stało się łatwe, wszyscy mają cyfrowki, ale on dalej robi na tradycyjnych negatywach. Podobno jego zdjęcia są wyjątkowe.

- Co teraz będzie fotografował? Kakadu?

- Czemu nie, to jedna z najdziwniejszych części Australii, pełna cudów natury. A może zamierza sfotografować całą Australię, kto wie?

- Nikt nie jest na tyle dobry, żeby zdołał sfotografować całą moją ziemię - oświadczył z dumą Joe.

- Pewnie masz rację - zgodził się Ross.

Dżip mknął po wyboistej drodze, kierując się ku ranchu North Star. Wschodnia strona nieba zaczynała się coraz bardziej rozjaśniać.

- I co? Zgodzisz się być jego przewodnikiem? - zagadnął po jakimś czasie Joe.

Był zmęczony i opierał głowę o zagłówek, a kędzierzawe białe włosy odcinały się od ciemnobrązowej skóry. Joe Goolatta miał prawie sześćdziesiąt lat, lecz wciąż świetnie się trzymał.

- Jeszcze nie wiem. Najpierw prosił o to Cyrusa, ale wołami nie oderwiesz go od Jessiki. Zupełnie jakby wciąż mieli miesiąc miodowy. Zresztą trudno go winić, bo wybrał sobie świetną żonę. To on zasugerował moją kandydaturę.

- No i słusznie. Chociaż Bannerman jest świetny, to ty jesteś jeszcze lepszy.

- Joe, jak zwykle ustawiasz mnie na początku szeregu, ze stratą dla innych.

- Pytanie tylko, czy znajdziesz na to czas - mruknął Joe. Co prawda miał odpoczywać, ale nie mógł zasnąć, w odróżnieniu od Bena, który tak głośno chrapał na tylnym siedzeniu, że aż chciało się mieć zatyczki do uszu.

Ross Sunderland zerknął na starego przyjaciela, a zarazem mentora.

- Jeśli się tego podejmę, zabiorę cię z sobą.

Joe usiadł prosto, a na jego pełnej godności twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Żartujesz.

- Nie. Nikt przecież nie zatroszczy się o mnie lepiej od ciebie.

Joe uśmiechnął się szeroko, pokazując białe zęby.

- Bałem się, że masz mnie za staruszką.

- Nigdy tak nie pomyślę. Chodząc po buszu, wykończyłbyś niejednego młokosa. W dodatku kto lepiej zna te tereny? Ty i twoi ludzie jesteście strażnikami tej ziemi.

- Ale chyba nauczyłem cię wszystkiego, co wiem.

- Oczywiście, że nie wszystkiego, bo na to trzeba by żyć co najmniej kilka razy. Posiadam tylko część twojej wiedzy i nie wstydę się do tego przyznać.

Joe był głęboko wzruszony.

- Czyli jednak poważnie rozważasz poprowadzenie tej wyprawy?

Ross spochmurniał.

- Tylko jak mam zostawić Belle samą w domu? I to teraz, kiedy jest jej tak ciężko? Nie mogę po prostu gdzieś pojechać, choćby tylko na dwa tygodnie.

- Zabierz ją z sobą. Panienska Belle znakomicie sobie radzi w buszu i naprawdę się przyda podczas takiej wyprawy.

Ross wydawał się go nie słuchać, pogrążony w swoich myślach.

Potrząsnął głową.

- Ona w ogóle się nie śmieje, nic nie jest w stanie jej uszczęśliwić choćby na chwilę. Moja siostra wszystko bardzo przeżywa, dlatego upłynie wiele czasu,

zanim dojdzie do siebie po stracie Blaira. Karze samą siebie, ponieważ jego rodzina obarczyła ją winą za śmierć męża. Zwłaszcza jego matka.

- To okrutna kobieta. Nie cierpię jej od zawsze. - Już miał na końcu języka, że męża Belle również nie znosił, ale zachował to dla siebie.

Blair Hartmann był szalenie przystojnym mężczyzną i takim samym snobem jak jego matka. Traktował Joea jak powietrze, gdyż nigdy nie zniżyłby się do poświęcenia prymitywnemu Aborygenowi nawet jednego spojrzenia, o rozmowie nie wspominając, więc Joe nie miał powodów, by polubić męża ukochanej „panienki Belle”, jak wciąż ją nazywał, nawet gdy została mężatką, a potem wdową. Nie zmartwił się, gdy Blair kilka lat po ślubie zginął w wypadku samochodowym, Wracając z jakiegoś wytwornego przyjęcia. Zawsze wracał do domu razem z żoną, lecz na owym przyjęciu pokłócili się o coś - byli na to świadkowie - w rezultacie czego w gniewie wypadł na zewnątrz, wskoczył do samochodu i pojechał sam - jak się okazało, na spotkanie ze śmiercią.

- Tata i ja też nigdy jej nie lubiliśmy. - Ross westchnął. - Co za pretensjonalna kobieta! Ale skoro Belle wybrała Blaira, cóż mogliśmy powiedzieć? Był zupełnie inny od wszystkich mężczyzn, jakich znała do tamtej pory. Facet z wielkiego miasta, elegancki, wyrafinowany, mierzący naprawdę wysoko... Luksusowy tryb życia, znakomita rodzina z koneksjami, rezydencja w najbardziej prestiżowej części Sydney...

- Myślę, że panienska Belle była przez chwilę zaślepiona, bo to wcale do niej niepodobne.

- To prawda... Była bardzo młoda i niedoświadczona, on za nią szalał, więc wydawało jej się, że trafiła na księcia z bajki. Blair właściwie zmusił ją do tego małżeństwa, tak mu na niej zależało, ale nie sądzę, by drugi raz mogła wyjść za kogoś podobnego, chociaż na zmarłego męża nie da powiedzieć złego słowa. A co do zabrania jej z sobą... Na pewno poradziłaby sobie świetnie, w to nie wątpię, z zasady jednak nie zabieram kobiet na wyprawy. Po prostu nie są stworzone do trudnych warunków i nieustannie narażają siebie i innych na

niebezpieczeństwo. Są dla nas prawdziwym kłopotem. - Milczał przez kilka minut, aż wreszcie wydusił, co naprawdę leżało mu na wątrobie: - Jeśli Langdon zaproponuje, żebyśmy zabrali z sobą jego siostrę, to ja się wycofuję.

- Była druhną na ślubie Cyrusa Bannermana, prawda? - Joe zerknął bystro na swego ucznia. Sam nigdy nie spotkał tej dziewczyny, ale potrafił przejrzeć Rossa lepiej niż ktokolwiek inny. Zaśmiał się cicho. - Wydawało mi się, że masz do niej słabość.

- A skąd możesz wiedzieć?

- Wiem.

- Zdziwiająca, że potrafisz czytać w moich myślach. Jesteś prawdziwym czarownikiem, Joe.

- Byłem nim w swoim czasie.

Ross pamiętał wszystko doskonale, zupełnie jakby to wspomnienie zostało w nim wypalone rozżarzoną żelazką.

Kiedy pierwszy raz zobaczył Samantę Langdon, właśnie zbiegała po schodach, podtrzymując swoją wspaniałą suknię druheny. On i Cyrus właśnie wchodzili do domu. Wracali z pracy, a konkretnie z powodzeniem wyratowali zabłąkane stado, które uwięzło wśród kolczastych zarośli. Polecieli helikopterem i strzelali z jego pokładu, by spłoszyć bydło i pognać je w pożądanym kierunku.

Cyrus i Ross przyjaźnili się od dzieciństwa, nic więc dziwnego, że zawsze sobie pomagali i że Ross został pierwszym drużbą na ślubie przyjaciela. Z kolei Cyrus zostałby jego pierwszym drużbą, gdyby Ross dojrzał do ożenku, na co zupełnie się nie zanosilo.

Owo promienne zjawisko, które dosłownie sfrunęło na nich, było z kolei najlepszą przyjaciółką panny młodej, piękną i inteligentną młodą kobietą, obdarzoną poczuciem humoru, a do tego pierwszą z czterech druchen, które szykowały się do ceremonii próbnej. Widać dziewczyny były już gotowe, mężczyźni musieli jednak najpierw się umyć, no i napić zimnego piwa...

Zjawisko zaśmiało się perliście.

- O rety, nie sądziłyśmy, że wrócisz tak szybko!

Właściwie skierowała te słowa do pana młodego, lecz patrzyła na pierwszego družbę, jakby coś siłą przyciągnęło jej wzrok. Ross stał bez ruchu jak zahipnotyzowany. Czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, robi mu się gorąco, targają nim jakieś gwałtowne uczucia. Nawet nie chodziło o samą urodę - chociaż dziewczyna wydała mu się absolutnie olśniewająca - co o sposób poruszania się. Jaka gracia, jaki wdzięk! W życiu nie widział czegoś podobnego. Pewnie baletnice dochodziły do takiej lekkości po latach zmudnych ćwiczeń. Miał ochotę chwycić tę zachwycającą kobietę, otoczyć ją ramionami, odnaleźć jej usta...

Po chwili wziął się w garść. Zawsze był opanowany, nigdy nie przydarzały mu się takie gromy z jasnego nieba, dlatego postanowił mieć się na baczności. Doskonale wiedział, ile cierpienia może przysporzyć uczucie, wiedział także, że nie wolno mu zaufać tak zjawiskowej istocie. Ten śliczny śmiech, uwodzicielski głos, stuprocentowa kobiecość... Same pułapki.

Rozwód rodziców okazał się dla niego i Belle prawdziwą tragedią. Dla ojca również i nigdy się po nim nie otrząsnął, dlatego też Ross wiedział, że kobieta - zwłaszcza nieodpowiednia - może zrujnować mężczyźnie życie.

Obiecał sobie już dawno, że jego nigdy to nie spotka.

Zjawisko zbliżyło się do nich. Miało nagie ramiona, na które opadały miedziane włosy, mleczną skórę i delikatne brzoskwiniowe rumieńce dokładnie w odcieniu bajecznej sukni, a także moc zawrócenia w głowie każdemu mężczyźnie. Ross z największym trudem oderwał oczy od krągłości, które kusząco zaczynały się nad górnym brzegiem gorsetu.

- Ty musisz być Ross, prawda?

Cyrus z uśmiechem przedstawił ich sobie, zaś Ross wypadł jak ostatni gbur, gdyż zachował się szorstko i odezwał nieprzyjemnym tonem. Odmówił podania ręki na powitanie, tłumacząc się tym, że wrócił z roboty i nie chce po-



brudzić pięknej sukni. Spojrzał przy tym na Samantę z tak nieskrywaną wrogością, że aż się zarumieniła. Doskonale wiedział, co robi. Jeśli nie będzie trzymał jej na dystans, to utonie w tych oczach. Każdy facet by utonął. Były przepastne, zapraszające, w odcieniu ciepłego brązu, usiane złocistymi cętkami.

Samanta Langdon dzielnie znosiła jego niechęć tego dnia oraz następnego, w którym Jessica i Cyrus wzięli ślub. Ross z dezaprobatą wspominał swoje zachowanie, ponieważ raczej nie miał zwyczaju warczeć na ludzi, jednak przy tej kobiecie ogarniała go dziwna słabość, a tego ranczerska duma nie potrafiła znieść. Zresztą, sądząc po doświadczeniach ojca oraz Belle, Sunderlandom pewnie nie było pisane szczęście w życiu osobistym. Ross nie życzył sobie, żeby jakaś kobieta go opętała, zaś najlepszym sposobem, by do tego nie dopuścić, było zachowywanie jak największej czujności.

- Hej, gdzie jesteś?

Głos Joego przywrócił go do rzeczywistości.

- Tak sobie myślałem o tym i owym...

- O tej dziewczynie?

- O Belle - zełgał bez mrugnięcia okiem.

Joe i tak wiedział swoje, ale udał, że uwierzył.

- Lepiej, żeby panienska Belle nie siedziała sama w domu. Pojedzie dzisiaj z tobą na wystawę?

- Sam nie wiem. W ciągu kilkunastu miesięcy straciła ojca i męża, więc jest w depresji. Mój Boże, ona ma zaledwie dwadzieścia sześć lat, a uważa, że jej życie już się skończyło. Dobrze, że wróciła do domu i mogę się nią opiekować.

Joe wiedział, że obaj w tym momencie pomyśleli o tym samym. O co małżonkowie pokłócili się przed wypadkiem Hartmanna? Isabelle wróciła do rodzinnego domu pogrążona w żałobie po mężu, ale chyba było w tym coś jeszcze. Głęboka depresja nie była następstwem tylko wdowieństwa, miała jakąś

inną przyczynę. Obaj to podejrzewali, lecz na podejrzeniach kończyła się ich wiedza.

Joe często wspominał cudowną, pełną życia panienkę Belle, oczko w głowie ojca i brata. Cała trójka kochała się bardzo i zżyła ogromnie po nieoczekiwanej zdradzie Diany, która była wspaniałą żoną i matką, więc tym bardziej nikt nie spodziewał się podobnego ciosu.

Diana pojechała do Anglii odwiedzić krewnych i spotkała tam dalekiego kuzyna, w którym zakochała się do szaleństwa. Nie potrzebowała nawet miesiąca, żeby podjąć ostateczną decyzję, czy woli zostać z nim, czy wrócić do męża. Walczyła o dzieci, pragnęła sprowadzić je do Anglii, lecz odmówiły wyjazdu z kraju i porzucenia taty, gdyż Ewan Sunderland był najlepszym ojcem, jakiego można sobie wyobrazić. Innego taty nie chciały.

Ewan ubóstwiał piękną żonę, wyniósł ją na piedestał, z którego spadła dopiero po czternastu latach małżeństwa. Joemu wciąż serce ścisnęło się boleśnie, gdy przypominał sobie tamte wydarzenia, tym trudniejsze do zniesienia, że Diana była cudowną osobą, kochaną przez wszystkich. Zawsze pogodna, lubiła się śmiać, zarażała innych optymizmem, do Aborygenów odnosiła się z szacunkiem. I nagle ktoś ją opętał.

Ross miał wtedy dwanaście lat, Isabelle dziewięć. Bardzo cierpieli, nie potrafili zrozumieć, jak mama mogła ich porzucić. Ewan nigdy nie zdołał przeboleć odejścia żony, dopiero śmierć przyniosła mu spokój. Zginął pod kołami ciężarówki. Była to zresztą podwójna tragedia, bo kierowca, wieloletni pracownik Sunderlandów, miał zawał i zmarł za kierownicą, a ciężarówka wjechała na Ewana. Mimo upływu czasu jego dzieci wciąż nie zdołały otrząsnąć się z szoku.

Obudziła się gwałtownie, w pierwszej chwili nie wiedząc, gdzie się znajduje. W pokoju panowały ciemność i cisza. Isabelle czuła, że serce wali jej jak młot. Wyciągnęła rękę i drżącą dłonią dotknęła drugiej strony łóżka. Nikogo.

Co za ulga!

Wtuliła twarz w poduszkę i przez kilka długich minut leżała bez ruchu, starając się dojść do siebie po koszmarach, które ją dręczyły. A właściwie po koszmarze, ponieważ ciągle śniło jej się to samo. Chciało jej się płakać, lecz wzięła się w garść, by nie dać się depresji. Musiała walczyć z nią sama, bo chociaż wciąż byli ludzie, którzy ją kochali - w pierwszej kolejności brat - nikt nie mógł jej pomóc. Oczywiście, oprócz szukania pomocy u najbliższych, mogła zwrócić się do psychologa, lecz w ogóle nie brała tego pod uwagę, gdyż nigdy nie zdołałaby nikomu powiedzieć, jak wyglądało jej życie z Blairem. Prawda nie przeszłaby jej przez gardło, była zbyt szokująca.

Powoli zaczynało świtać. Isabelle wstała i spojrzała na budzik. Czwarta czterdzieści. Wcześniej, ale z całą pewnością nie wróci do łóżka, ponieważ wtedy znowu przyśniłoby jej się, że Blair śpi obok, jak zawsze trzymając rękę na jej piersi, ponieważ traktował żonę jako swoją własność, coś w rodzaju zdobyczy albo nagrody. O tak, Blair bardzo sobie cenił jej urodę, sposób bycia, maniery. Jeździł z nią do sklepów, by kupować jej ubrania, wybierał tylko te najlepsze i najdroższe, sprawdzał, jak ona się w nich prezentuje, oglądał ją od przodu i od tyłu, kazał przechadzać się po sklepie, wygłaszał opinie, zaś sprzedawczynie posyłały mu rozmarzone uśmiechy, myśląc o tym, jak cudownie byłoby mieć takiego przystojnego, bogatego i zakochanego męża. Raj na ziemi.

Gdyby tylko znały prawdę!

Isabelle znowu usłyszała w głowie głos męża, głos, od którego wciąż nie potrafiła się uwolnić. Czuły, słodki, nabrzmiały pożądaniem, a potem nagle pełen gwałtownej nienawiści oraz niezrozumiałej udręki.

Znowu poczuła dłoń zaciskającą się na jej szyi.

- Sama mnie do tego zmuszasz. Nic nie rozumiesz, prawda? Nie rozumiesz, co ja przeżywam. Ty zimna suko, ty neurotyczko! Co mam zrobić, żebyś mnie pokochała? Powiedz mi, przestań się wreszcie nade mną znęcać, nie zniosę tego dłużej. Nadal nie rozumiesz? No to zmuszę cię, żebyś zrozumiała.

I cios, po którym aż zgięła się w pół. Czy komukolwiek przyszłoby do głowy podejrzewać czarującego młodego mężczyznę o podobne zachowanie?

„Co mam zrobić, żebyś mnie pokochała?”.

Przy ludziach na wszelkie sposoby okazywał jej uczucie, w czterech ścianach wstępował w niego diabeł. Właśnie, wstępował - w czasie przeszłym. Na szczęście w czasie przeszłym. Blair nie żył, a wiele osób obwinało za to właśnie Isabelle, zwłaszcza oskarżała ją rodzina zmarłego, zaś najbardziej zawzięcie Evelyn, która nie znosiła synowej od pierwszej chwili, gdyż nie mogła pogodzić się z faktem, że została zdetronizowana i już nie jest najważniejszą kobietą w życiu syna.

Ale czy oskarżyciele nie mieli racji? Może traumatyczne przeżycia z dzieciństwa uczyniły ją niezdolną do małżeństwa? Może odziedziczyła po matce fatalną destrukcyjną siłę, przez co, tak jak i Diana, zniszczyła swoje małżeństwo? Cały czas zżerało ją poczucie winy. Tak, na pewno nie była niewinna, gdyż tych kilka lat spędzonych z Blairem zatrąło jej duszę. Nigdy nikomu nie powiedziała o jego wyrachowanych i okrutnych psychologicznych gierkach ani o atakach furii, gdy rzucał się na nią z pięściami i bił prawie do nieprzytomności. Wreszcie nauczyła się bronić. Parę razy nawet go pokonała.

Kiedy pierwszy raz zagroziła odejściem, zaczął się śmiać. Chwyliła wtedy kuchenny nóż i oświadczyła:

- Ja nie żartuję.

Wyraz jej oczu uświadomił mu, że mówiła poważnie, dlatego natychmiast rzucił się do przeproszania i jak zwykle zasypał ją prezentami - całe kosze róż, najdroższa bielizna, którą zresztą potem uwielbiał z niej zdzierać. Jak zwykle padł na kolana, błagał o wybaczenie, zaklinał się, że ją uwielbia i jest dla niego absolutnie wszystkim, on zaś nienawidzi siebie za to, co jej zrobił. Ale czy ona nie rozumie, że sama doprowadza go do takiego stanu? Po co go nieustannie prowokuje, czemu zadaje mu nieznośny ból, flirtując na prawo i lewo z innymi mężczyznami? Już wszyscy o tym mówią.

Jakim cudem mogli o tym mówić, skoro nigdy z nikim nie flirtowała?

Ale on nie słuchał i dalej stawiał zarzuty. Czemu ona ciągle mówi o dziecku? To on jej nie wystarcza?

Tylko że Isabelle od dawna już nie mówiła o dziecku... Nie pojmowała, jak w ogóle mogła wyjść za tego mężczyznę. Byłaby taka szczęśliwa, gdyby nigdy się nie spotkali! Jeszcze przed jego śmiercią żyła pogrążona w żałobie, gdyż opłakiwała utracone lata i możliwości, natomiast po jego śmierci dręczyło ją straszliwe poczucie winy, ponieważ właśnie to mu powiedziała podczas owego przyjęcia i dlatego wybiegł, wskoczył za kierownicę i pognął jak wariat.

Wzięła prysznic, ubrała się i zeszła na dół, żeby przygotować śniadanie dla brata. Najlepszego brata na świecie. Zawsze się nią opiekował, nawet jako dzieci nie pobili się ani razu, czym chyba niewiele rodzeństw mogło się poszczycić. Zarówno brat, jak i tata zrobili wszystko, by odejście mamy okazało się dla niej jak najmniej bolesne, a ponieważ żaden z nich nie potrafił znieść jej łez, Isabelle bardzo szybko oduczyła się płakać, by nie sprawiać im przykrości.

Tyle strat... Mama, tata, mąż. Tyle bolesnych wspomnień.

Tyle blizn.

Kiedy kończyła robić śniadanie, usłyszała, jak Ross wraca, więc wyszła go przywitać.

- Znaleźliście go?

- Tak. Raczej nie będzie miał już podobnych pomysłów. Założył się z młodym Pearce'em, że sam odnajdzie drogę do rancza, ale poszedł w przeciwnym kierunku.

- Bardzo mądrze. Śniadanie gotowe.

- Dzięki. Daj mi dziesięć minut, tylko się ogarnę. Nie musiałaś wstawać o takiej porze.

- Od jakiegoś czasu źle sypiam.

Oczywiście Ross, nie znając prawdy, zrozumiał to jako kolejny przejaw żałoby po Blairze.

Isabelle nie rozpoczęła rozmowy od razu, tylko czekała cierpliwie, aż brat się naje, a zjeść zawsze mógł dużo. Podobnie jak ojciec był potężnie zbudowany, szeroki w ramionach, szczupły w biodrach. W dzieciństwie brano ich za bliźnięta, gdyż oboje mieli takie same kruczoczarne włosy po ojcu oraz zielononiebieskie oczy po mamie. Potem jednak już nie byli aż tak bardzo podobni, ponieważ Isabelle przestała rosnąć, osiągnąwszy metr siedemdziesiąt trzy, zaś jej brat znacznie przekroczył tę granicę.

- Namysliłeś się już co do dzisiejszego wieczoru? - zagadnęła w końcu.

- Jeszcze nie wiem, co zrobię.

- Cyrus i Jessica będą na ciebie czekać. - Wiedziała, że nie chciał zostawiać jej samej, i tylko to go powstrzymało. - Tym bardziej że to Jessica namówiła Robyn, by zrobiła w swojej galerii tę wystawę. - Robyn była przyrodnią siostrą Cyrusa, osobą o dość trudnym charakterze. - No i znowu spotkasz Samantę.

Ross spochmurniał gwałtownie.

- A kto powiedział, że w ogóle chcę ją widzieć?

- Przepraszam, nie chciałam być wścibska, ale wydawało mi się, że masz do niej słabość.

- Mam, i właśnie to mi się nie podoba. Nie życzę sobie.

- Och, braciszku, oboje płacimy wysoką cenę za nasze przeżycia z dzieciństwa - rzekła ze smutkiem.

- Zgadza się - przytaknął ponuro.

- Takie doświadczenia mogą zrujnować nawet najlepiej zapowiadający się związek.

- Myślę, że w samej definicji związku ukryta jest ruina.

To taka nieuchronność losu, o której, niestety, na ogół dowiadujemy się zbyt późno.

Spojrzał na siostrę. Belle zawsze była smukłą, lecz teraz jeszcze zeszczipiała, stała się wręcz krucha. Pod oczami widniały sine podkówki,

świadczące o niedosypianiu, lecz mimo to nadal olśniewała zjawiskową urodą. To właśnie dlatego Hartmann tak bardzo chciał ją zdobyć. Nawet nie zauważał jej inteligencji ani innych wspaniałych zalet, natomiast obsesyjnie podziwiał jej wygląd. Źle się stało, że za niego wyszła. Gdyby Blair żył, zapewne w końcu i tak by się rozstali.

- Chciałbym ci pomóc. Opowiedz mi o twoim małżeństwie. Wiem, że między wami coś było nie tak.

- Jestem taka sama jak ty, wolę zachować moje sprawy dla siebie.

- Tak, Belle, ale rozmowa mogłaby ci przynieść ulgę, nie sądzisz?

Co miałyby mu powiedzieć? Że czarujący, łagodny młody mężczyzna okazał się psychopatycznym brutalem? Nigdy nie zdołała wyjawić tego ojcu ani bratu, ponieważ spaliłaby się ze wstydu. Przyznać się, że mąż ją bije? Po pierwsze, z wyjątkiem najbliższych, nikt by jej nie uwierzył. Po drugie, takie wyznanie byłoby upokarzające, a przecież była dumna jak wszyscy Sunderlandowie. Blair znakomicie o tym wiedział, dlatego nie obawiał się, że żona wyjawi prawdę bratu i ojcu, którzy natychmiast zrobiliby z nim porządek.

Skoro nie wyjawiała tego wcześniej, tym bardziej nie mogła tego zrobić teraz, gdyż Ross nie zrozumiałby, czemu od razu nie zwróciła się do niego o pomoc.

Ponieważ milczała, postanowił drażnić temat.

- Co się właściwie stało? Uwielbiał cię, szalał za tobą, lecz obaj z tatą mieliśmy wrażenie, że on nie widzi prawdziwej ciebie, jakkolwiek dziwnie to brzmi. Nie powinno się mówić źle o zmarłych, ale... w jakimś sensie byłaś nie tyle miłością Blaira, co jego obsesją. Nie mogłaś wyjść z pokoju na dziesięć minut, żeby nie zaczynał się dopytywać, gdzie jesteś i z kim. Był szalenie zazdrosny, nawet o twoją więź z tatą i ze mną. To nie mogło być łatwe dla ciebie.

- Mieliśmy problemy - powiedziała cicho. - Pewnie większość par ma takie czy inne kłopoty. Staraliśmy się je rozwiązywać.

- Jakie problemy? Wiem, że chciałaś mieć dzieci. Czy to o to chodziło?  
Nie mogliście ich mieć?

Ależ w naszym związku było dziecko, pomyślała. Blair, egoistyczny, zapatrzony w siebie okrutny dzieciak o twardych pięściach... Dlatego Isabelle nie miała prawa zostać matką, bowiem mąż bestialsko egzekwował swoje żądanie, by skoncentrowała się wyłącznie na nim.

- Nie ma sensu teraz o tym rozmawiać. - Westchnęła.

- Strasznie mi żal, że Blair zginął w taki sposób. To potworne.

- Nie możesz pogрузić się w rozpacz, przecież jesteś młoda i całe życie przed tobą. Na pewno spotkasz kogoś...

- Kogoś, kto będzie cię wart, dodał w myślach. - Wiem, że obarczysz się winą z powodu tej kłótni tuż przed śmiercią Blaira, ale to nie ma sensu. Evelyn źle zrobiła, rzucając na cię oskarżenia. Jest szalenie zaborcza, uważa, że w dniu ślubu pozbawiłaś ją syna. To po prostu chore... Nie przejmuj się jej słowami, z rozpacz nie bardzo wiedziała, co mówi.

Evelyn Hartmann miała rację, naprawdę wysłałam Blaira na śmierć, pomyślała.

- Nie tylko ona tak uważa, cała jego rodzina twierdzi to samo. Wielu naszych przyjaciół i znajomych zaczęło patrzeć na mnie krzywym okiem, wciąż krążą plotki, a ja nie miałam się jak bronić, bo to byli jego przyjaciele i uważali go za najbardziej oddanego męża, jakiego można sobie wyobrazić.

- A nie był nim? - podchwycił Ross.

- Tak jak powiedziałaś, Blair za mną szalał. I na tym zakończmy temat. Wiem, że próbujesz mi pomóc, ale wolałabym porozmawiać o Samancie Langdon. Chętnie bym ją poznała. Szkoda, że nie mogłam pojechać na ślub Cyrusa i Jessiki, ale w mojej sytuacji...

- Oni to naprawdę zrozumieli - zapewnił Ross. - A skoro chcesz ją poznać, to może dasz się zabrać na wystawę Langdona? Po południu



polecilibyśmy helikopterem do Darwin, musiałabyś tylko zamówić pokój w hotelu. Wyjście do ludzi dobrze ci zrobi.

Isabelle wcale nie była tego taka pewna. Krążyły o niej nieprzyjemne plotki, pewnie nie słyszała nawet połowy, a już i tak czuła się odizolowana od innych, wyrzucona poza nawias. Z drugiej strony w Darwin na pewno mniej plotkowano niż w Sydney, w dodatku byłaby w towarzystwie brata.

- Nie wiem, czy jeszcze nie za wcześnie. - Podniosła się i zaczęła sprzątać ze stołu, przypominając sobie, jak kiedyś podczas kolacji Blair ni tego, ni z owego rozbił kieliszki z winem o podłogę i wybuchnął śmiechem. Kiedy zmiotła skorupy, rozbił talerze... Ten jego śmiech, gdy sprzątała... Jakby wstąpił w niego diabeł. Bo taki śmiech, raniący i poniżający drwiną, mógł być tylko wymysłem szatana.

- Oczywiście nie chcę z ciebie niczego wyciągać, chociaż wiem, że jest wiele rzeczy, o których nie chcesz mi powiedzieć. Pamiętaj tylko o jednym. Nie jesteś sama, masz grono wiernych przyjaciół i brata, który oddałby za ciebie życie. - Gdy odwróciła się, by ukryć łzy, dodał: - Naprawdę byłbym wdzięczny, gdybyś poleciała ze mną do Darwin. Jessica też się ucieszy, ona cię bardzo lubi.

- Widziałyśmy się zaledwie kilka razy, ale też ją polubiłam. A skoro Samanta jest jej najbliższą przyjaciółką, to chyba musi być miłą osobą.

- Nigdy nie mówiłem, że nie jest miła. To co, pojedziesz ze mną?

Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

- A, potrzebujesz obstawy?

- Raczej nie, ponieważ zamierzam trzymać się od niej z daleka. Kręcenie się wokół takiej kobiety byłoby równie bezpieczne jak złapanie tygrysa za ogon.

## ***ROZDZIAŁ DRUGI***

Wmieszali się w rozdyktowany tłum. Goście popijali szampana, krążyli kelnerzy z tacami pełnymi apetycznych przekąsek. Galeria składała się z trzech dużych sal, na ścianach wisiały oprawione fotografie, na które padało światło reflektorków umocowanych na szynach pod sufitem. Gdy Cyrus i Jessica Bannermanowie zauważyli rodzeństwo Sunderlandów, natychmiast skierowali się w ich stronę.

- Tak się cieszę, że przyszaś, Isabelle - entuzjastycznie przywitała ją Jessica. - Wyglądasz przepięknie.

- Dziękuję. Ty również.

Szczera życzliwość Jessiki podziałała na Isabelle jak balsam po tych wszystkich przykrościach, jakie musiała znosić, odkąd owdowiała i przed którymi w końcu zaszyła się w rodzinnym domu.

- Wystawa jest wspaniała, spodoba wam się - ciągnęła Jessica. - David odbiera honory w sąsiedniej sali. Samanta przyszła w towarzystwie jego asystenta, Matta Howartha. Jest bardzo sympatyczny. Chodźcie, przedstawimy was. Ross, na pewno polubisz Davida, to absolutnie wyjątkowy człowiek. Bardzo chce cię poznać i ma nadzieję, że zostaniesz jego przewodnikiem.

- Jeszcze nie wiem, czy się zdecyduję - odparł Ross, jednocześnie próbując przetrwać informację, że Samanta przyszła z jakimś Mattem. Informacja jednak okazała się niemożliwa do strawienia, gdyż poczuł wielki supeł w żołądku.

- Stary, za dużo pracujesz, oderwanie się od obowiązków dobrze ci zrobi - zawyrokował Cyrus, prowadząc ich przez tłum do drugiej sali. - No i Belle taka wyprawa też sprawiłaby przyjemność.

Dawnej Belle, dodał w myślach, widząc, w jakim stanie znajduje się siostra przyjaciela.

- Właśnie, ty też mogłabyś jechać z nimi, to znakomity pomysł -  
podchwyciła Jessica.

- Naprawdę nie mogę. Proszę, nie rozmawiajmy więcej na ten temat.

- Oczywiście. - Spojrzała z niepokojem na boleśnie ściągniętą twarz Isabelle. Bardzo jej współczuła. Tragedia, którą przeżyła, była wprost niewyobrażalna, szczególnie dla szczęśliwej młodej mężatki.

Z tłumu wysunęła się elegancka dama po pięćdziesiątce o życzliwej twarzy i chwyciła za ramię przechodzącą Isabelle.

- Moja droga, co za miła niespodzianka! Słyszałam, że wróciłaś do domu.

- Pani Charlton! - ucieszyła się Isabelle. Spojrzała na pozostałych. -  
Idźcie, niedługo do was dołączę.

Sądząc po reakcji siostry, Ross mógł spokojnie zostawić ją w towarzystwie owej pani Charlton, chociaż jej nie znał. Widać nie należała do tych fałszywych przyjaciół, którzy powtarzali krzywdzącą opinię, że Isabelle przyczyniła się do śmierci oddanego męża, który świata poza nią nie widział.

W sąsiedniej sali panował jeszcze większy ścisk, a najwięcej osób - głównie kobiet - tłoczyło się wokół wysokiego mężczyzny o surowo ciosanych rysach i płowej lwiej grzywie. Zgromadzone panie wpatrywały się w niego z wyraźnym uwielbieniem.

Jessica zachichotała na ten widok.

- Olśnił je jak gwiazda ekranu.

Ross jednak nie zwrócił uwagi na fotografa ani otaczający go wianuszek wielbicielek, gdyż widział tylko ją jedną. Tak samo jak poprzednim razem poczuł ogromną ekscytację, ale zaraz potem zeszywniał, zauważając towarzyszącego jej mężczyznę.

Matt Howarth był koło trzydziestki, miał pociągłą twarz i miły uśmiech. Widać było od razu, że jest ujmującym i wrażliwym człowiekiem. Odnosił się do Samanty w sposób sugerujący, że coś ich łączy, przy czym Ross nie potrafił odgadnąć, czy chodzi o poważny związek, czy tylko o przyjaźń.

Chyba jednak nie ludził się, by tak zachwycająca kobieta mogła być sama? Oczywiście i tak nie zamierzał o nią zabiegać, lecz co innego nie chcieć, a co innego wiedzieć, że nawet gdyby się chciało, to i tak jest się bez szans, bo ktoś inny okazał się szybszy.

Stał i patrzył na nią. Miała na sobie prostą sukienkę w złotym kolorze, która znakomicie podkreślała miedziany odcień włosów, a także złote sandaalki na wysokich obcasach. Nawet skóra Samanty zdawała się połyskiwać złościście. Ross wyobraził sobie, jak przesuwa dłońmi po jej ramionach, jak czuje pod palcami cudowną gładkość.

Nagle ich spojrzenia spotkały się, a wtedy Ross uświadomił sobie, że znowu stoi jak ten kołek i gapi się na nią. Do diabła, to było naprawdę upokarzające, bo nie miał zwyczaju robić z siebie głupca. Czy inni zauważyli, jak idiotycznie się zachowywał? Jediną pociechę stanowił fakt, że ona też znieruchomiała, a jej piękne oczy rozszerzyły się jak u łani, która spostrzegła wbity w nią wzrok drapieżnika.

Instykt samozachowawczy nakazywał Rossowi, by odwrócić się i wyjść. Ta kobieta była wcieloną pokusą, więc każdy rozsądny facet trzymałby się od niej z dala. Jeśli Samanta Langdon zamierza wziąć udział w fotograficznej ekspedycji, to Ross z miejsca składa dymisję z funkcji przewodnika, ponieważ nie życzy sobie, by jakakolwiek kobieta wodziła go na pasku i robiła z niego pajaca. Ech, one mają te swoje sztuczki i potrafią mężczyźnie odebrać rozum! Ba, potrafią złamać mu serce i zrujnować życie, odfruwając w ramiona innego. Ross doskonale pamiętał zdradę matki i cierpienie swego ojca. Tak, kobiety to płocze, niestałe istoty, które potrafią siać prawdziwe spustoszenie.

Spojrzał na jej brata i ku swemu zaskoczeniu z miejsca poczuł sympatię do tego potężnego faceta. Langdonowie byli podobni do siebie, lecz w mniejszym stopniu niż Ross i Belle. Samanta miała miedziane włosy, a David płowe, ona miała oczy w kolorze ciepłego brązu, on zaś miodowe jak topazy.

Cyrus dokonał prezentacji, Ross uściśnął dłonie Davida i Matta. Matt spojrzał na Rossa podejrzliwie, jakby szóstym zmysłem wyczuwał zagrożenie. Potem przez kilka minut trwała ogólna wymiana uprzejmości.

- Po wernisażu zapraszam was na kolację - rzekł David. - Wtedy swobodnie porozmawiamy. Teraz muszę zająć się innymi gośćmi. - Dyskretnym ruchem głowy wskazał Robyn, która kiwała na niego, wyraźnie zamierzając go przedstawić jakiemuś dystyngowanemu starszemu panu. - Wybaczcie.

Kiedy się oddalił, poszli oglądać zdjęcia. Ross zatrzymał się na chwilę przy opisie zawierającym życiorys fotografa. Był pod wrażeniem, widząc długą listę krajów, po których David Langdon podróżował, w tym państwa ogarnięte zawieruchą wojenną, jak Afganistan, Irak, Timor Wschodni. Jednak najpiękniejsze zdjęcia pochodziły z najbliższych okolic Australii - z Papui Nowej Gwinei oraz Wielkiej Rafy Koralowej.

- Są świetne - mruknął sam do siebie.

- Powiedziałeś to takim tonem, jakbyś był zaskoczony.

Odwrócił się powoli, dając sobie czas na stłumienie gwałtownej emocji, jaką wywołał w nim ten głos, a w rezultacie owego brania się w garść odezwał się wyjątkowo szorstko:

- Nie miałem takiej intencji. Twój brat to więcej niż fotograf, to artysta.

Samanta zaczerwieniła się lekko, zarówno z powodu jego tonu, jak i dlatego, że nie potrafiła sobie poradzić z niesamowicie silnym pociąganiem fizycznym, jaki odczuwała do tego mężczyzny.

- To prawda - odparła z całym przekonaniem. - W Sydney prowadzę galerię z jego pracami i mam nadzieję, że w Darwin uda mi się otworzyć drugą.

- Sądzisz, że Robyn będzie zachwycona tym pomysłem? - spytał zaczepnym tonem, jednocześnie wyobrażając sobie, że znajdują się sami, on zsuwa jej ramiączka i ściąga sukienkę niżej, by obnażyć kształtne piersi. Samanta nie dała się speszyć.

- Znajdzie się tu miejsce i dla drugiej galerii, pomieścimy się obie w Darwin z łatwością, zwłaszcza że Robyn wystawia głównie malarstwo, czasami również rzeźbę. Nie będziemy wchodziły sobie w paradę.

- Może tak, a może nie. - Czuł doskonale, że zachowuje się przy niej jak kompletny prostak, a wynikało to z faktu, że sama jej obecność odurzała go, jakby upił się winem. Ale będzie się trzymał z całych sił, ona nie rzuci go na kolana, choćby zachowywała się jak najbardziej czarująco.

- Ross, dlaczego tak mnie nie lubisz? - spytała cicho. - Nie, nie kręc głową i nie próbuj zaprzeczać, gdyż oboje doskonale wiemy, że to prawda. Pamiętasz, jak było na weselu?

- Mhm... - Czy pamiętał? Jak mógłby zapomnieć?

- Skąd ta niechęć? Czy powiedziałam coś nie tak? Czy coś zrobiłam? Powiedz mi, proszę, o co chodzi. Mamy z Davidem nadzieję, że zostaniesz naszym przewodnikiem, więc byłoby lepiej, gdyby nie było między nami konfliktów.

Zmarszczył brwi i zmierzył ją gniewnym spojrzeniem.

- Czyli ty też wybierasz się do Kakadu?

Tym razem Samanta speszyła się i w rezultacie powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy:

- Jeszcze nigdy nie widziałam u mężczyzny takiego koloru oczu.

- To u nas rodzinne - uciał. - Nie próbuj mnie odwieść od tematu.

Wybierasz się na tę wyprawę razem z bratem?

- David chce, żebym mu towarzyszyła. Zauważyłeś te krótkie teksty pod fotografiami? To ja je napisałam.

- Są znakomite - przyznał szczerze, gdyż naprawdę spodobały mu się lapidarne poetyckie komentarze, które znakomicie wnikały w sedno sfotografowanych scen. Był przekonany, że wyszły spod pióra Davida.

- Nie zrobiłam na tobie najlepszego wrażenia na ślubie Jessiki i Cyrusa, więc pozwól sobie powiedzieć, Ross, że nie tylko prowadzę galerię i tworzę

opisy do zdjęć Davida, ale także piszę i ilustruję książki dla dzieci, przy czym nie są to słodkie bajeczki, tylko oryginalne historie dla małych czytelników z bardzo żywą wyobraźnią. Mają coraz większe wzięcie.

- Bardzo się cieszę, ale co to ma wspólnego z wyprawą? Zdajesz sobie sprawę, że to nie będzie niedzielny piknik?

Dumnie uniosła brodę i spojrzała mu prosto w oczy, mając nadzieję, że jej wzrok nie zdradza, jak wielkie wrażenie Ross na niej wywierał. W jasnym lnianym garniturze i białej koszuli rozpiętej pod szyją wyglądał niesamowicie seksownie, aż jej dech zapierało.

- Wiem, że wybieramy się w dzikie tereny.

- Spotkałaś się kiedyś oko w oko z czterometrowym krokodylem?

- Jeszcze nie, ale gdyby tak się stało, zadbałabym o to, żeby między mną a owym krokodylem znajdował się niejaki Ross Sunderland - odparła, starając się żartem rozładować napiętą atmosferę.

- Rozmawiamy o poważnych sprawach - zniweczył jej wysiłki.

- A ja poważnie podchodzę do tej wyprawy. Ross, czyżbyś miał mnie za malowaną lalę, która już pierwszego dnia stanie się kulą u nogi?

- Po prostu nie mam ochoty zabierać cię z sobą - rzekł prosto z mostu.

- Mam na imię Samanta. Ani razu nie zwróciłeś się do mnie po imieniu.

Jeśli wolisz, możesz mi mówić Sammy.

- Sammy... - wycedził. - Brzmi uroczo. Aż nazbyt uroczo.

Miała ochotę mu przyłożyć, ale oczywiście nic by nie wskórała, najwyżej zrobiłaby sobie krzywdę.

- Gdyby twoja siostra pojechała z nami...

- Nie licz na to - przerwał jej. - Belle nie ma ochoty na żadne wyprawy, jest w żałobie, niedawno straciła męża.

- Wiem, Jessica mi powiedziała. Ogromnie współczuję Isabelle, to prawdziwa tragedia, ale może taki wyjazd by jej pomógł? Natura cudownie leczy, ma uzdrowicielskie właściwości.

- Dziękuję za podzielenie się ze mną tą cenną uwagą... Samanto.

- Nie bądź taki, proszę.

- To znaczy jaki? - Wszystko się w nim gotowało ze złości i z pożądania, gdyż przy Samancie podskakiwał mu poziom zarówno adrenaliny, jak i testosteronu. Ta kobieta wprowadzała chaos w jego życie, podczas gdy Ross cenił porządek.

- Arogancki, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć. I nieprzyjemny, chociaż Cyrus twierdzi, że jesteś najwspanialszym facetem na świecie.

- Widać obracam się w męskim świecie i nie przywykłem do towarzystwa kobiet.

- Słyszałam co innego.

- To znaczy?

- Podobno masz powodzenie. No tak, ale wiele kobiet pociągają właśnie tacy mężczyźni, którzy mają je za nic.

- Twoim zdaniem jestem właśnie takim facetem?

- A nie? - odpaliła ostro. Chociaż intuicja ostrzegła ją przed igraniem z ogniem, Samanta nie mogła nie zareagować na ostentacyjną niechęć Rossa. Nie przywykła do podobnego traktowania.

- Nie gardzę kobietami. Kocham i szanuję moją siostrę.

- I powinieneś. Po tym, przez co przeszliście, powinniście trzymać się razem.

Jego rysy stężały.

- Znasz historię mojej rodziny? Kto ci ją opowiedział? Cyrus?

- Owszem. Widzisz w tym coś złego? Historia mojej rodziny jest podobna, rodzice rozwiedli się, kiedy jeszcze chodziłam do szkoły i każde założyło nową rodzinę. Mamy z Davidem dwie siostry przyrodnie, córki mojego taty.

W jej pięknych oczach dostrzegł cień smutku. Zaskoczyła go, gdyż zakładał, że była rozpieszczoną księżniczką, oczkiem w głowie tatusia.



- Modliłaś się, żeby zostali razem, co?

- Tak, ale przeszkody okazały się za duże. W rezultacie zwątpiłam w sens małżeństwa.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się, a uśmiech uczynił go jeszcze atrakcyjniejszym.

Samanta uznała, że musi mieć się na baczności.

- Tak. Zresztą chyba myślisz podobnie.

- Skąd wiesz? Przecież mnie nie znasz. - Ale i tak próbujesz wodzić mnie na pasku, dodał w myślach.

- Ale chciałabym cię poznać - wyrwało się jej od dawna skrywane pragnienie.

- Żeby poznać moje słabości? - odparował.

- Nawet przez chwilę nie podejrzewałam, że masz jakiegokolwiek.

- Mam, tak samo jak każdy człowiek, staram się jednak nad nimi panować. Asystent twojego brata pewnie też je ma. Rozumiem, że coś cię z nim łączy?

- Skąd taki wniosek?

- Chcesz mi powiedzieć, że nieprawdziwy?

- W ogóle nie zamierzam ci nic mówić - powiedziała, z każdą upływającą minutą utwierdzając się w przekonaniu, że angażowanie się w jakikolwiek związek z tym mężczyzną, który działał na nią jak mocne wino, byłoby straszliwym błędem. - Za to z radością bym zobaczyła, jak niknie twoja pewność siebie i niezłomne przekonanie o słuszności swoich opinii.

- W następnej kolejności pewnie mi powiesz, że mimo wszystko możemy jednak zostać przyjaciółmi - zakpił.

Myśl, dziewczyno, przykazała sobie w duchu. Głupiejesz przy nim, ale jednak postaraj się nie wyjść na idiotkę.

- Nie, raczej nie mamy na to szans, w każdym razie do czasu, aż dokona się w tobie radykalna metamorfoza. Natomiast takie sobie, ot, koleżeństwo...

czemu nie? Wiem, że dla ciebie tylko mężczyźni się liczą, więc postaram się nie wchodzić ci w drogę.

Popatrzył na jej śliczne usta, które miał ochotę zgnieść w pocałunku.

Chociażby po to, żeby dać jej nauczkę.

- Co nie będzie łatwe, jeśli na przykład przyjdzie nam dzielić namiot.

- Hm... żartujesz... To chyba nie będzie konieczne... prawda?

Po raz pierwszy w jego oczach pojawiło się szczere rozbawienie.

- Jak widzę, ta perspektywa jakoś cię nie ekscytuje, uprzedzam jednak, że może dojść do czegoś jeszcze gorszego.

- Mówisz o krokodylach i potężnych pytonach, które połykają człowieka na śniadanie? - spytała, jednocześnie wyobrażając sobie, jak znajduje się w namiocie sama z Rossem Sunderlandem.

- Zlituję się nad tobą i oszczędzę ci tych wszystkich opowieści - rzekł z wyraźną drwiną.

- Przede wszystkim stajesz na głowie, żeby mnie zniechęcić. -

Postanowiła zakończyć rozmowę z tym niebezpiecznym mężczyzną, zanim wyrwie jej się coś, czego będzie potem żałowała. - Pójdę poszukać Isabelle. A jeśli chodzi o ciebie, to rzeczywiście jesteś okropny.

- Świetnie, że zdajesz sobie z tego sprawę. To ci zaoszczędzi sporo kłopotów.

Odwróciła się z furią, a miedziane włosy zawirowały wokół jej głowy, lśniąc w świetle reflektorów niczym czysty ogień.

- Wiedziałam o tym, gdy tylko cię zobaczyłam.

Na jego wargach pojawił się prowokacyjny uśmiech.

- W takim razie wiesz również, że między nami nie może być mowy o przyjaźni.

- To brzmi, jakbyś rzucał mi wyzwanie.

Zmierzyli się wzrokiem i przez kilka długich chwil stali tak bez słowa, aż zjawiała się śliczna brunetka w czerwonej sukience, stanęła między nimi i chwyciła Rossa za ramię, kompletnie ignorując Samantę.

- Ross, mój drogi, tu jesteś! Pewnie się nudzisz, co? Ja i mama właśnie przyszliśmy, chodź do nas. Najlepiej wyskoczmy gdzieś i zabawmy się, nie robiliśmy tego od wieków. - Odciągnęła go na bok.

Samanta zaś przeklinała w duchu swoją słabość. Nie pozwoli, by Ross Sunderland rzucał jej kłody pod nogi. David potrzebował jej na tej wyprawie, więc nie ma mowy, by pozwoliła zostawić się w mieście.

David zebrał się na odwagę i postanowił podejść do kobiety, którą obserwował już od dłuższego czasu. Wiedział, że jest piękna, lecz w rzeczywistości okazała się jeszcze piękniejsza niż na zdjęciach w gazetach lub w telewizji, gdy uciekała przed nachalnymi reporterami. W ciągu minionych miesięcy delikatnie próbował zasięgnąć języka o Isabelle Hartmann, młodej wdowie po Blairze Hartmannie, lecz prawie zawsze słyszał same złe rzeczy. Mimo to nadal czuł gorące pragnienie, by zaopiekować się nią i ją chronić. Było to bardzo dziwne, zważywszy na to, że dotąd nigdy jej nie spotkał, chociaż też mieszkał w Sydney i obracał się w najlepszych kręgach. Unikał jednak wielkich przyjęć i innych towarzyskich wydarzeń, o ile nie służyły celom charytatywnym.

Nie dał wiary tym wszystkim okropnym plotkom. Po pierwsze, jako znakomity fotograf, widział więcej niż inni, dlatego był pewien, że Isabelle Hartmann czymś bardzo się zadręcza. Po drugie plotkowały o niej głównie kobiety, więc zapewne chodziło o czystą zawiść, gdyż Isabelle była zjawiskowo piękna. Po trzecie, najpoważniejsze oskarżenia pochodziły z otoczenia bogatej i wpływowej Evelyn Hartmann. To stamtąd płynęły wieści o tym, w jak lodowaty sposób Isabelle traktowała swego męża, jak odmówiła urodzenia dziecka, by nie psuć sobie figury, jak zajmowała się tylko swoim wyglądem i coraz to nowymi strojami. Żona Blaira miała być osobą straszliwie

próżną i do cna fałszywą, gdyż na pokaz udawała dobro i szlachetność. Przynajmniej nie mogli twierdzić, że wyszła za męża dla pieniędzy, gdyż Sunderlandowie należeli do bardzo zamożnych rodzin. Nie dało się jednak ukryć owej fatalnej kłótni, w wyniku której Blair wybiegł z przyjęcia tak wzburzony, że nie uważał, jak prowadzi.

Plotki towarzyszyły jej nadal, nawet na tym wernisażu, lecz z uwagi na obecność Rossa starano się, by nie dotarły do uszu Sunderlandów. David od razu zauważył, że Ross opiekuje się siostrą, podobnie jak on opiekował się młodszą o siedem lat Samantą.

Odczekał, aż Isabelle znajdzie się sama, i podszedł do niej.

- Dobry wieczór, pani Hartmann. Już od jakiegoś czasu chciałem się pani przedstawić. David Langdon.

Odwróciła się ku niemu, a przez jej doskonale opanowaną twarz przemknęła jakaś emocja, której nie potrafił nazwać, lecz znikła równie szybko, jak się pojawiła. Isabelle podała mu rękę. Delikatna i krucha dłoń dosłownie zginęła w jego niedźwiedziej łapie. Zapragnął unieść jej palce do ust, lecz oczywiście nie mógł tego zrobić przy tych wszystkich ludziach i podczas pierwszego spotkania.

- Bardzo mi przyjemnie, panie Langdon - rzekła Isabelle, czując jakąś dziwną słabość do tego potężnego mężczyzny, który wprost emanował witalnością. - Pańskie fotografie zrobiły na mnie wielkie wrażenie.

- Miło mi to słyszeć. - Czy tylko mu się zdawało, czy rzeczywiście zadrzała? - Wernisaż powoli zbliża się ku końcowi, o dziesiątej galeria zostanie zamknięta. Mam nadzieję, że pójdzie pani z nami na kolację?

Przycisnęła palce do skroni. Popatrzył na jej smukłe dłonie, łabędzią szyję i kruczoczarne włosy upięte w klasyczny kok.

- Proszę nie wymawiać się migreną. - Uśmiechnął się ciepło, patrząc jej w oczy. - Będzie się pani miło bawić, obiecuję. Poznałem już pani brata. Mam nadzieję, że Ross zechce być moim przewodnikiem.

Łagodny olbrzym, pomyślała, patrząc na potężne bary Davida Langdona, który musiał się pochylać nad nią podczas rozmowy. Łagodny, lecz zapewne twardy, gdy zachodziła taka potrzeba.

- Nie wygląda pan na człowieka, który potrzebuje przewodnika.

Znowu posłał jej ujmujący uśmiech.

- Niechętnie się do tego przyznaję, lecz potrzebuję pomocy eksperta, który przeprowadzi mnie przez Park Narodowy Kakadu. Zupełnie nie znam tych rejonów.

- Przecież bywał już pan w odległych zakątkach globu, w tym w bardzo niebezpiecznych miejscach.

- Tak, lecz zawsze był ze mną ktoś, kto wiedział, jak z takiego miejsca wyjść cało.

- Nie jestem pewna, czy Ross podejmie się tego zadania, panie Langdon.

- Proszę mi mówić David.

- Isabelle - odparła niemal nieśmiało, rumieniąc się lekko, co zadawało kłam plotkom o jej pewności siebie, próżności i samolubstwie.

Nie, ani trochę nie wyglądała na osobę, która szuka w życiu jedynie przyjemności, flirtuje na prawo i lewo, by podbijać kolejne serca. Davidowi wydawała się słodka i niewinna, dlatego nie tylko go zafascynowała, ale także wzbudziła w jego sercu czułość. Isabelle była wiotka, w dodatku tego wieczoru nosiła prostą suknię na jednym ramiączku, a z biżuterii miała jedynie kolczyki z pereł. Na jej palcach nie dostrzegł ani pierścionka zaręczynowego, ani obrączki. Dziwne, że młoda kobieta, która niedawno owdowiała, tak szybko pozbyła się oznak związku. O czym to świadczyło? Czy nie była szczęśliwa w małżeństwie?

Isabelle doskonale wiedziała, że przygląda jej się bardzo uważnie i zauważa każdy szczegół, a to jego zainteresowanie nieoczekiwanie sprawiło jej przyjemność. Nie czuła się w żaden sposób zagrożona pomimo jego imponującej postury. Odnosiła wrażenie, jakby znalazła się w towarzystwie potężnej istoty, która z sobie wiadomych powodów postanowiła się nią zaopiekować.

Uświadomiła sobie, że David od pierwszej chwili przypominał jej lwa - miał w sobie coś majestatycznego, zwracał powszechną uwagę, budził szacunek, z pewnością należało się z nim liczyć. No i ta lwia grzywa... Chętnie zanurzyłyby w niej dłonie. To z pewnością byłoby cudowne uczucie...

Dobry Boże, czy ona zwariowała?!

- Widzę, że się w końcu poznaliście.

Byli tak zajęci sobą, że nawet nie zauważyli, kiedy podeszła do nich Samanta. Z uśmiechem spojrzała na zegarek.

- Za dziesięć minut wernisaż dobiegnie końca i będziemy mogli wreszcie się nagadać do woli i lepiej poznać. Umieram z głodu. A ty, Isabelle?

Powinna wymówić się bólem głowy i wrócić do hotelu, jednak nie sposób było odmówić komuś tak życzliwemu i promiennemu jak Samanta Langdon. David nic nie mówił, cierpliwie czekał na odpowiedź Isabelle, która już wiedziała, że głównie z jego powodu pójdzie na tę kolację. Nie chciała jednak głębiej analizować swych emocji.

- Może troszkę z wami posiedzę, ale ostrzegam, że nie zamierzam się rozgadywać. Wolę słuchać.

Siedzieli wokół okrągłego stołu - małżeństwo Bannermanów, rodzeństwo Sunderlandów, rodzeństwo Langdonów. Matt im nie towarzyszył, ponieważ był już wcześniej umówiony z przyjacielem, który na krótko wpadł do Darwin. Siedząca między bratem a Davidem Isabelle stwierdziła nagle, że jest głodna, chociaż od wypadku Blaira wmuszała w siebie tyle tylko jedzenia, by nie umrzeć z głodu. Ross z zadowoleniem obserwował, jak jego siostra je, popija pyszne chardonnay i uśmiecha się do Langdona, który zabawiał ją rozmową. Najwyraźniej czuła się dobrze w jego towarzystwie. Nie, to było coś więcej: jakby wracała do życia. Jej policzki zaróżowiły się, oczy rozblęły. Ross przyglądał się temu z radością, czuł bowiem zaufanie do Davida, który był dżentelmenem w każdym calu w najgłębszym tego słowa znaczeniu.

No to zaraz będziemy na noże, pomyślała Samanta, kiedy po deserze podano kawę i skończyła się miła towarzyska pogawędka, a zaczęła konkretna rozmowa na temat.

Była przekonana, że Ross Sunderland zaraz oświadczy, że taka wyprawa jest tylko dla wielkich białych mężczyzn, a słabe kobietki zostają w domu.

Zaczęli rozmawiać o Kakadu, wielkim parku narodowym, liczącym dwadzieścia tysięcy kilometrów kwadratowych, pełnym rzek, w których roiło się od krokodyli, mogącym się poszczycić ciekawymi formacjami skalnymi, lasami, mokradłami oraz sławnymi na cały świat naskalnymi malowidłami Aborygenów w Nourlangie i Ubirr. Ross i Cyrus opowiadali na przemian, a ich entuzjazm udzielił się pozostałym. Samanta z satysfakcją wyłowiła informację, że krokodyle nie są aż tak groźne, jeśli zachowuje się ostrożność i nie wkracza beztrosko na ich terytorium - ona z całą pewnością nie zamierzała podchodzić i głaskać tych potworów po głowie, wiedziała przecież, że to nie są misie koala.

- Zabierz nas tam koniecznie - powiedział wreszcie David.

Przez moment wyglądało na to, że Ross odmówi, a opowiadał o wszystkim ze szczegółami tylko po to, żeby fotograf wiedział, jakie miejsca powinien odwiedzić. Jednak Isabelle podchwyciła spojrzenie brata i uśmiechnęła się, dając mu znać, żeby jechał, gdyż wiedziała, jak bardzo uwielbiał podobne wyprawy.

- W porządku, zabiorę was do Kakadu - odparł Ross. - Rozumiem, że chodzi o ciebie i twojego asystenta Matta?

Źle rozumiesz, pomyślała Samanta.

- Chciałbym też zabrać moją siostrę - rzekł David. Wyraz twarzy Rossa zmienił się w jednej chwili.

- To oznaczałoby poważne naginanie reguł. I tak nie będzie łatwo dostać się do miejsc najbardziej wartych sfotografowania. W dodatku wiem po twoich zdjęciach, że pociąga cię niebezpieczeństwo. Naprawdę chciałbyś ją narażać?

- A gdybyśmy rozbijali obozy i stamtąd wyruszali na wypad?

- I zostawiali twoją siostrę samą? Dalej nawet nie chce wymówić mojego imienia, pomyślała. Nie jestem Samantą, tylko siostrą mojego brata. David z kolei spojrział na siostrę Rossa.

- A gdyby Isabelle również pojechała z nami? Wygląda jak krucha lilia, lecz dam głowę, że świetnie radzi sobie w buszu.

Isabelle spuściła wzrok. Było jasne, że Ross nie życzy sobie obecności Samanty na tej wyprawie, lecz równie oczywiste było to, że ta młoda kobieta uwielbia przygody i bardzo chce jechać w najdziksze rejony Australii.

Podniosła spojrzenie i ujrzała złociste oczy Davida Langdona, który wpatrywał się w nią tak intensywnie, że aż puls jej przyspieszył.

- Czy muszę udzielić odpowiedzi już teraz? Ross poruszył się niespokojnie.

- Belle, na pewno chciałabyś jechać? Wiesz, że to będzie trudna wyprawa i entuzjazm tej młodej damy szybko zgaśnie. W dodatku musiałbym jej nieustannie pilnować. Przykro mi, ale kobiety spowolniłyby tempo, w ogóle są z nimi same kłopoty.

- Chwileczkę! - krzyknęła Isabelle, a jej oczy groźnie rozbłysły. Kochany braciszek tak bardzo uraził jej dumę, że przez moment była taka jak przed laty. - Co to znaczy, że z kobietami są same kłopoty? I chcesz mi powiedzieć, że nie dotrzymam wam kroku?!

Ross westchnął.

- Wyraziłem się może niezbyt zręcznie, ale prawda jest taka, że nie masz już tej kondycji co dawniej. Zrobiłaś się taka krucha, że byle podmuch cię porwie.

- Na pewno nie! - oświadczyła z oburzeniem. David pokojowym gestem uniósł dłoń.

- Ross, naprawdę uważasz, że nasza wyprawa okazałaby się za trudna dla kobiet?



- To są naprawdę dzikie tereny, dlatego też wezmę do pomocy świetnego tropiciela, Joego Goolatte. To Aborygen, Cyrus może za niego poręczyć. Joe pochodzi z Kakadu, jego zwierzęciem totemowym jest krokodyl. Wierz mi lub nie, lecz krokodyle to wiedzą. Nie widziałem, żeby ktokolwiek inny potrafił z nimi rozmawiać. On umie.

- Niesamowite! Ale widziałem już niesamowite rzeczy w różnych częściach świata, więc wierzę. A co do Samanty... Po pierwsze, ta wyprawa sprawiłaby jej przyjemność, co już samo w sobie stanowi dla mnie wystarczający powód do wzięcia jej z sobą, po drugie Sammy pisze teksty do moich fotografii. Jest w tym znakomita.

Ross niecierpliwie wzruszył ramionami.

- Zgadzam się, ale przecież może napisać te teksty po twoim powrocie, na podstawie gotowych fotografii.

- To nie to samo - zaproponowała gwałtownie. - Wtedy w tekstach nie będzie prawdziwej emocji, prawdziwych doznań. Naprawdę nie będę się bała zostać sama w obozie, nie jestem oferumą! Oczywiście byłoby mi bardzo miło, gdyby Isabelle pojechała z nami.

- Umiesz strzelać? - zaatakował Ross.

- Z broni? - Już nie patrzyła na niego tak wyzywająco.

- A z czego? - zakpił.

- Nie, nie umiem. Nigdy nie miałam w ręku pistoletu czy karabinu, to straszna rzecz.

- Może i straszna - nadal kpił bez ogródek - ale absolutnie niezbędna, by przeżyć w buszu. Co zrobisz, kiedy zaatakuje cię krokodyl albo jadowity wąż? Już wiem, rzucisz w niego gustowną broszkę. Albo skarcisz: „A fe! Idź stąd, paskudo!”.

- Daruj sobie - syknęła, a jej policzki zaróżowiły się gwałtownie. - Wiem, o co ci chodzi.

- To już coś - mruknął.

- Za to ja umiem strzelać, i to całkiem nieźle, o czym mój brat doskonale wie - wtrąciła Isabelle, powodowana nie tylko kobiecą solidarnością, ale czymś jeszcze, w co jednak nie zamierzała się wgłębiać.

- Belle, nie pozwól, żeby twoja skłonność do brawury wzięła górę - zaoponował Ross. - Proszę, przemyśl sobie to jeszcze.

- Właśnie - wtrącił David, znany z dyplomatycznych talentów. - Po prostu musicie przespać się z tym problemem i przedyskutować go we dwoje. Ross, rozumiem twoje obiekcje i przyznaję, że gdybym to ja był przewodnikiem, mógłbym mieć podobne. Gdyby jednak Isabelle przyłączyła się do nas, to przy jej doświadczeniu ryzyko zmniejszyłoby się znacznie. Skoro zatrzymaliśmy się w tym samym hotelu, to może spotkajmy się jutro rano, żeby omówić sprawę ponownie? Chyba że musicie wcześniej wyjechać?

- Rzeczywiście, planowałem ruszyć o świcie, ale faktycznie możemy się rano spotkać. Obiecałem być twoim przewodnikiem, Dave, i zdania nie zmieniam, ale co do twojej siostry, to musisz zrozumieć, że ona nie zdaje sobie sprawy z ryzyka.

- Może rano przyniesie nowe spojrzenie na całą sprawę - rzekł David.

- I na tym zakończmy nasze miłe spotkanie - podsumował Cyrus, wstając i szarmancko odsuwając żonie krzesło. - Musimy już iść, nocujemy u Robyn i jej męża.

Wszyscy zaczęli się podnosić. David odsunął krzesło Isabelle i poczuł przy tym słodką woń jej perfum. Zdenerwowana przebiegiem rozmowy Samanta dość gwałtownie zerwała się od stołu i wpadła prosto na Rossa, który błyskawicznym ruchem chwycił ją wpół i przytrzymał, żeby się nie przewróciła.

- Przepraszam - powiedziała bez tchu, gdyż wrażenie było piorunujące. - Szybki jesteś.

- Owszem, jestem...

Ich spojrzenia się spotkały. Ross czuł ciepło jej ciała przez cienki materiał sukienki. Miał ochotę wziąć ją w ramiona i gdyby byli sami, pewnie by tak zrobił, nie bacząc na konsekwencje.

Samanta patrzyła na te niezwykle zielononiebieskie oczy, odcinające się od opalonej na brąz skóry, patrzyła na usta, które miała ochotę pocałować - znajdowały się tak blisko, że wystarczyłoby tylko trochę się przysunąć... Intuicja podpowiadała jej, że Ross całowałby namiętnie, z prawdziwym żarem. Wyczuwała, że pod maską chłodnego, cynicznego twardziela, a chwilami nawet gbura, skrywa się ktoś pełen namiętności.

Na szczęście pozostali nie zwracali na nich uwagi, zajęci pożegnaniami i podziękowaniami za miły wieczór.

- Możesz mnie już puścić - oznajmiła chłodno. Miała wrażenie, że dłoń Rossa parzy ją przez ubranie.

- Już się robi. - Bez pośpiechu cofnął rękę. - Wybacz, nie chciałem cię wytrącić z równowagi.

Co za bezczelna pewność siebie!

- Skąd przypuszczenie, że jesteś w stanie to zrobić?

Uśmiechnął się tylko, jednak Samanta widziała szelmowskie ogniki w jego oczach.

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

Ross jak zawsze obudził się jeszcze przed świtem, chociaż miał za sobą wyjątkowo męczącą noc. Zazwyczaj był tak zmordowany całodzienną pracą, że spał jak kamień, lecz w cichym hotelowym pokoju z klimatyzacją nie mógł zasnąć. Jego umysł ciągle krążył wokół problemu, jaki stanowiła Samanta Langdon. Próbował odpędzić od siebie jej wspomnienie, przykładał się do tego gorliwie, lecz jego wysiłki pozostały nadaremne.

Za późno, staruszk, pomyślał. Wpadła ci w oko.

Tak, ale to jeszcze nie znaczyło, że miał ulec.

Wieczorem długo rozmawiał z siostrą, która twardo obstawała, by zabrać Samantę do Kakadu. Sprawę ostatecznie przesądził fakt, że była to pierwsza rzecz, na której Isabelle zależało od czasu śmierci męża. Chciała udać się na tę wyprawę i miała ochotę na towarzystwo Samanty. Ross domyślał się, że jej nieoczekiwane ożywienie miało związek z Davidem Langdonem, z którym od pierwszej chwili nawiązała harmonijne porozumienie. Zresztą Ross wcale się temu nie dziwił, gdyż znany fotograf był człowiekiem mądrym i wrażliwym. Sam go polubił od pierwszej chwili.

Gorzej z jego siostrą...

Też można by rzec, że był pod jej wrażeniem. Nawet leżąc samotnie w hotelowym łóżku, niemal czuł przy sobie obecność Samanty.

- Dlaczego tak bardzo się do niej uprzedziłeś? - spytała go Belle podczas owej rozmowy w cztery oczy.

Próbował dać jakąś przekonującą odpowiedź, ale i tak było oczywiste, że siostra go przejrzała. Oboje wiedzieli, że prawdziwa przyczyna tkwi w ich wspólnych, bolesnych doświadczeniach z przeszłości. Ostatecznie jednak Ross zgodził się zabrać je obie na wyprawę, by sprawić siostrze przyjemność, chociaż nie miał ani trochę zaufania do ślicznej, promiennej, rudowłosej panny Langdon, kobiety ze wszech miar niebezpiecznej.

Dotąd, nawet jeśli decydował się na romans, zawsze potrafił ustrzec się przed prawdziwym zaangażowaniem. W przypadku tej jednej kobiety nie byłoby to takie proste, ponieważ Ross za nic nie chciał się zakochać - tak naprawdę zakochać, pragnąć drugiej osoby całym sobą i potem zostać samemu i tęsknić, spalając się w tym daremnym pragnieniu.

Belle знаła go dobrze i wiedziała o nim rzeczy, których inni nawet się nie domyślali. Doskonale opanowany i pozornie chłodny Ross był w rzeczywistości człowiekiem o bardzo gorącej naturze, a tacy ludzie muszą uważać...

Po raz kolejny przypomniał sobie wesele Cyrusa i Jessiki. Jako pierwszy drużba musiał przed pierwszym toastem wygłosić mowę. Poszło mu świetnie, opowiedział najsympatyczniejsze wspomnienia związane z panem młodym, dodał kilka wzruszających epizodów, a wszystko tak okraszył humorem, że goście aż popłakali się ze śmiechu.

Pozostałe trzy drużny od razu go zaakceptowały i zaczęły z nim flirtować. Ross nie pozostał dłużny, chociaż tak naprawdę myślał tylko o niej jednej, pragnął jej dotknąć, objąć ją. W końcu nie mógł dłużej opierać się pokusie i poprosił Samantę do tańca, tłumacząc sobie zresztą, że to jego obowiązek, gdyż pierwszy drużba musi zatańczyć z pierwszą drużną, w przeciwnym bowiem wypadku zachowa się jak ostatni gbur.

Wyglądała jak ucieleśnienie męskich marzeń. Gładkie nagie ramiona, nagie plecy, gorset uwydatniający biust... Połyskliwa satynowa suknia w odcieniu brzoskwini idealnie pasowała do jej urody. Tego dnia Samanta miała włosy uczesane w wysoki kok tak samo jak pozostałe drużny, lecz tylko ona przypięła jedwabny kwiat nad uchem.

- Chyba pora, żebyśmy zatańczyli. - Natychmiast wziął ją w ramiona, nie mogąc czekać już ani chwili dłużej.

- Myślałam, że w ogóle nie będziesz chciał ze mną zatańczyć.

- Czemu miałbym nie chcieć zatańczyć z najpiękniejszą dziewczyną na weselu? - odparł, lecz ton jego głosu stał w zupełnej sprzeczności z treścią wypowiedzi.

- Na przykład dlatego, że do tej pory miło spędzałeś czas z pozostałymi druhnami.

- To nie powód, by nie tańczyć z tobą - uciał tym samym tonem.

Przez chwilę tańczyli w milczeniu.

- Będę zawsze pamiętać ten dzień - powiedziała nagle ze wzruszeniem. W jej oczach zalśniły łzy, który to widok dodatkowo podsycał pragnienie Rossa, gdyż wydała mu się jeszcze piękniejsza. - Jessica promienieje urodą i szczęściem, Cyrus jest zakochany po uszy... A ty wygłosiłeś wspaniałą mowę. Wszyscy śmialiśmy się i płakaliśmy jednocześnie.

- I to od tego wciąż masz łzy w oczach?

Zamrugła.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Cóż, to w końcu odpowiednia okazja, by pokazać emocje - stwierdził kpiąco, zresztą zły na siebie, że tak postępuje, ale przy niej nie potrafił zachowywać się inaczej. Jak miał w pełni nad sobą panować, skoro myślał tylko o tym, żeby ją całować, pieścić jej piersi...

- Ross, o co chodzi? Dlaczego jesteś taki... dziwny?

Milczał, bo co miał powiedzieć? „Pragnę cię, chcę cię mieć, zaraz, natychmiast!”. Dlatego zamiast mówić cokolwiek, mocniej przygarnął ją do siebie i zatańczył z nią tak upojnego walca, że inni goście usuwali się z parkietu, by zrobić im miejsce, a na koniec nagrodzili ich brawami. Samanta była zarumieniona, oddychała szybko, przyciskała dłoń do piersi. Może nawet odgadła, że on wcale nie jest taki chłodny, jak się wszystkim wydaje.

Zerwał się gwałtownie z łóżka. Dość tych marzeń o Samancie! Był zmęczony tym, że od jakiegoś czasu prześladowuje go kobieta o wielkich oczach łani. A miał spędzić parę tygodni w jej towarzystwie...

O tak wczesnej porze miała cały wielki basen dla siebie. Rzuciła na leżak torbę i powiewną przejrzystą koszulę, którą kupiła w komplecie z bajecznie kolorowym bikini w tropikalne kwiaty.

Skoczyła do wody i wynurzyła się na powierzchnię dopiero po przepłynięciu prawie połowy basenu. W szkole średniej namawiano ją nawet, żeby zdawała do Australijskiej Akademii Sportu i została zawodową pływaczką, miała jednak inne plany. Chciała poświęcić się twórczości. Kiedy zaczęła pisać i ilustrować książeczki dla dzieci, jej przyjaciele uważali, że się marnuje i powinna spróbować swoich sił w telewizji, lecz Samanty w ogóle to nie pociągało. Wiedziała, że któregoś dnia, gdy będzie już wystarczająco dojrzała, zacznie pisać prawdziwe powieści. Zresztą już teraz jeden z krytyków zauważał w recenzji jej ostatniej książki, że pani Langdon, która posługuje się bogatym, bardzo poetyckim językiem, zapowiada się na znakomitą pisarkę.

Dopłynęła do końca basenu, poczuła, jak warkocz zaczyna jej się rozplatać, więc zatrzymała się, by go poprawić, a wtedy zobaczyła, że od strony hotelu idzie Ross Sunderland ubrany tylko w szorty i rozpiętą koszulę, z przerzuconym przez ramię ręcznikiem. A sądziła, że będzie mieć cały basen dla siebie! Wiedziała, że Ross zaraz ją zauważy i znowu zacznie się wojna. Tylko ją jedną tak szorstko traktował. Wobec siostry był delikatny i opiekuńczy, wobec Jessiki serdeczny i szarmancki. Do tego David polubił go od pierwszego spojrzenia, a jej brat świetnie znał się na ludziach.

Jednak tym razem jej nie speszzy! Popruła niczym torpeda, lecz musiała zatrzymać się przy drabince, gdyż warkocz rozplótł się zupełnie i rozpuszczone długie włosy przeszkadzały w pływaniu.

- Długo tak możesz? - zainteresował się Ross, który przykucnął na brzegu basenu.

Odgarnęła mokre włosy.

- To tylko zabawa.

- W takim razie byłem w błędzie, bo myślałem, że trenujesz przed zdobyciem medalu olimpijskiego - odparł kpiąco.

- Mogłabym go zdobyć i bez trenowania - rzuciła i chwacko, i na wyrost.

- Doprawdy? Jestem pod wrażeniem.

Przesunęła się nieco, by znaleźć się w jego cieniu, dzięki czemu słońce już jej nie oślepiało i mogła spojrzeć Rossowi w oczy.

- Zdobyłam kilka złotych medali jako juniorka.

Chwyliła za poręczę i wyszła z basenu, gdyż chciała owinać się ręcznikiem, by zasłonić się przed palącym spojrzeniem Rossa, ten jednak podniósł się i stanął jej na drodze.

- Już idziesz? Chyba cię nie wystraszyłem?

- Miałbyś mnie wystraszyć? Żartujesz sobie. Po prostu mam coś do zrobienia.

- Nie masz ochoty na mały wyścig?

- Chociaż pływam naprawdę dobrze, na pewno nie miałabym szans.

- Może jednak spróbujesz? Jesteś bardzo szybka i robisz profesjonalne obroty. Są lepsze niż moje.

- Ponieważ wyćwiczyłam je do perfekcji. - Wyminęła go i podeszła do leżaka, na który rzuciła swoje rzeczy.

Popatrzył za nią, czując przeszywające pożądanie.

- Stchórzyłaś? Kto wie, gdybyś mnie pokonała, może rozważyłbym twój udział w wyprawie.

Zaczęła wycierać się ręcznikiem. Oczywiście nie łudziła się, że zdoła kiedykolwiek rzucić tego mężczyznę na kolana - a bardzo by tego chciała - ale wiedziała już, że robi na nim wrażenie. I że wcale mu się to nie podoba.

- Już i tak to rozważasz.

- Słucham? Co to niby miało znaczyć?



Podszedł do niej szybkim, zdecydowanym krokiem. Przez moment miała wrażenie, że chwyci ją za ramiona i przyciągnie do siebie. Nic podobnego nie nastąpiło, ale i tak serce zaczęło bić jej mocniej.

- Wielka szkoda, że jesteś taki agresywny.

- Zazwyczaj nie jestem. - Uśmiechnął się leciutko. - Tylko ty potrafisz doprowadzać mnie do takiego stanu.

- Ciekawe... Przypominam ci kogoś? Jakaś dziewczynę, która cię rzuciła?

- Co ty, potrafię zadbać o to, żeby mnie nikt nie rzucił.

- Nie wątpię. Pewnie starannie wybierasz kandydatki. Na przykład ta brunetka w czerwonej sukience nie wyglądała na taką, która by cię rzuciła. Nawet nie zauważyła mojej obecności.

W jego oczach zamigotało rozbawienie.

- Zauważyła aż za dobrze, zapewniam. Ale Julie to tylko przyjaciółka.

- Która ma ochotę na więcej.

- Podobnie jak twój Matt - odparował natychmiast.

- Nie mój. Między mną a Mattem nic nie ma.

- No i dobrze, ponieważ taki związek to byłaby kosmiczna katastrofa.

Odrzuciła do tyłu powoli wysychające włosy.

- Oho, znów przyciężkawy żart w stylu Sunderlanda.

- Po prostu mieszanie pracy i przyjemności nigdy się nie sprawdza. To co? Ścigasz się ze mną?

- Pod jednym warunkiem.

Ross ściągnął koszulę, a potem szorty, zostając w samych kąpielówkach, zaś Samanta z trudem odwróciła wzrok od jego muskularnego ciała.

- Przykro mi cię rozczarować, ale nie zamierzam dawać ci forów.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło, bo wcale ich nie potrzebuję.

Warunek jest taki, że jeśli wygram, bez żadnego dalszego gadania bierzesz mnie na wyprawę do Kakadu.

- A jeśli przegrasz? - spytał, ogarniając ją spojrzeniem, od którego zrobiło jej się gorąco.

- Cóż, to przegram i nadal będę chciała jechać, ale wtedy zaczniemy negocjacje i będziesz mógł sobie pogadać.

- Hm, sprytne... po prostu wszystko dla ciebie. Masz jeszcze jakieś życzenia?

- Owszem. Mógłbyś być dla mnie nieco miłszy.

- Nie, to byłoby zbyt męczące. Gotowa?

- Będę gotowa, kiedy wreszcie przestaniesz gapić się na moje nogi.

Uśmiechnął się.

- Nie możesz paradować w bikini i oczekiwać, że facet nie zwróci uwagi na to i owo. Sto metrów? Dwieście?

Dwieście metrów oznaczało więcej obrotów, a nie wątpiła, że robi je szybciej od Rossa.

- Dwieście.

Splotła włosy w warkocz i zabezpieczyła go gumką.

- Masz coś przeciwko temu, żebyśmy uścisnęli sobie dłonie?

- Oczywiście, że nie.

Dopiero kiedy podała mu rękę, zobaczyła w jego oczach rozbawienie, kpinę nawet. Chciała się cofnąć, ale nie pozwolił, przytrzymał ją, a wtedy Samancie zrobiło się, nieznośnie gorąco. Wyszarpnęła rękę.

- Co za dużo, to niezdrowo.

- Przecież tylko podaliśmy sobie dłonie. Jaki styl preferujesz?

- Bez znaczenia, w każdym jestem dobra.

- W takim razie niech będzie kraul, bo w nim jestem najlepszy. Start na „trzy”.

Wskoczyli do wody równocześnie. Samanta na początku płynęła spokojnie, oszczędzając siły na zabójczy finisz, co było jej ulubioną strategią. Rzeczywiście w obrotach okazała się lepsza, dzięki czemu po stu pięćdziesięciu

metrach Ross stracił wcześniej wywalczoną przewagę. Na ostatniej długości basenu Samanta pokazała, co potrafi, mając jednak świadomość, że próbuje prześcignąć pływaka znacznie silniejszego od niej, w dodatku mającego dłuższe ramiona, co miało ogromne znaczenie. Przez chwilę wydawało jej się, że Ross zaczyna zostawać z tyłu, jakby chciał dać jej wygrać, co ją rozgniewało, gdyż nie potrzebowała niczyjej łaski, jednak kiedy do mety zostało piętnaście metrów, wyprzedził ją i zdążył wyskoczyć na brzeg w momencie, gdy dotykała ściany basenu.

Wyciągnął rękę.

- Moje gratulacje. Musiałem się nieźle napracować, żeby cię pobić, jesteś naprawdę świetna.

Cóż, musiała uścisnąć mu dłoń.

- Nie miałam dotąd takiego przeciwnika. - Wyskoczyła z basenu.

- Nie dziwię się. Na studiach byłem w drużynie pływackiej.

Spiorunowała go wzrokiem.

- I oczywiście nie wstyd ci, że nie powiedziałeś tego przed wyścigiem?

- Nie - odparł z uśmiechem.

Stali przed sobą, woda spływała strużkami po kremowej, leciutko opalonej skórze Samanty i po smagłej skórze Rossa.

- Wygrałeś tylko dlatego, że jesteś mężczyzną, do tego wysokim i dobrze zbudowanym. Nieduzego faceta pobiłabym z łatwością.

- Nawet całkiem sporego faceta mogłabyś pobić... - A jeśli by tak porwał ją w ramiona i zażądał pocałunku jako nagrodę za zwycięstwo?

Spojrzała na niego z prośbą w oczach.

- Co z naszą wyprawą? Zaakceptujesz mój udział?

- Przecież przegrałaś.

Wyraz brązowych oczu zmienił się natychmiast, stał się pełen dezaprobaty.

- A jeśli obiecuję, że będę trzymać się na dystans?

- Tak jak teraz?

- Co masz na myśli?

Powoli powiódł spojrzeniem po jej ciele.

- Powiedzmy to sobie szczerze... Jesteś prawie naga.

- Co za pruderia! To chyba naturalne, gdy ktoś idzie popływać, nie sądzisz?

- Hej, przecież nie narzekam! Jesteś bardzo piękna, co już ci zapewne powiedziano najmarniej tysiąc razy, ale niebezpieczna wyprawa nie jest dobrą okazją do eksponowania seksapilu.

- Mogę chodzić w drelichowym kombinezonie.

- Ciekawe, jak to wytrzymasz przy tropikalnej temperaturze i wysokiej wilgotności powietrza.

Odetchnęła głęboko, licząc w duchu do dziesięciu.

- Przepraszam, ale chciałabym wziąć prysznic przed śniadaniem.

Oddaliła się, zaś Ross odprowadził ją wzrokiem, myśląc, że nigdy dotąd żadna kobieta nie sprawiała mu jakichś poważniejszych problemów. Co się więc z nim działo, u licha? Zwariował?

Może troszeczkę.

David Langdon był już w Darwin, wiedział więc, gdzie najprzyjemniej spędzić ranek. Oczywiście w malowniczym Ogrodzie Botanicznym, rozciągającym się na obszarze czterdziestu hektarów. Po drodze zastanawiał się nad wyprawą do Kakadu. Był coraz bardziej podekscytowany, chociaż poznał już tyle niezwykłych miejsc. Fotografował świątynie w Angkor Wat, ruiny w Borobudur, lasy na Borneo i na Jawie... Dotąd jednak nie znał najbardziej dzikiego rejonu we własnym kraju, pełnego cudów natury i świętych miejsc Aborygenów. Miał nadzieję, że dzięki Sunderlandowi zdoła dotrzeć do wielu z nich.

Jednak jego euforia miała również związek z tym, że poznał pewną kobietę... Zagadkową kobietę, o której krążyły nieprzyjemne plotki. Kobietę tak

piękną, że mężczyzna nie był przy niej bezpieczny. David z łatwością poddał się jej urokowi i wcale się nie bronił, chociaż właściwie niewiele o niej wiedział.

Równie dobrze mógł wskoczyć do wody, nie wiedząc, jak jest głęboka.

I kiedy tak myślał o Isabelle, właśnie ją zobaczył. Znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Drogę właśnie zastąpiło jej trzech skośnookich nastolatków z ciemnymi włosami postawionymi na żel i w krzykliwie kolorowych ubraniach. Coś do niej mówili, śmiali się, a ona stała, jakby nie dawali jej przejść.

Klasyczna sytuacja - kilku wyrostków zaczepia na prawie pustej ulicy samotną piękną kobietę. David zwykle reagował w podobnych momentach, po prostu zawsze brał stronę słabszych, ale na myśl o tym, że coś nieprzyjemnego mogłoby spotkać Isabelle, obudził się w nim lew.

Błyskawicznie znalazł się przy niej. Jego postawa i wzrok nie wróżyły niczego dobrego. Chłopcy wyraźnie się zaniepokoiłi.

- Wszystko w porządku, Isabelle? - spytał mocnym głosem, stając obok niej.

Zaskoczona spojrzała na Davida. Dotąd знаła go wyłącznie jako szalenie miłego, łagodnego i życzliwego człowieka, lecz teraz wyglądał naprawdę groźnie.

- Jak najbardziej, Davidzie - odparła uspokajająco. - Nic złego się nie dzieje. Ci młodzi ludzie to moi przyjaciele, znam ich, odkąd byli dziećmi. Przywitajcie się z panem Langdonem, moi drodzy, to słynny fotograf. Davidzie, to są Manny, Jimmy i Charlie Chun Wing.

- Dzień dobry, miło nam pana poznać - odezwał się najstarszy z nich, Manny, podczas gdy pozostali dwaj skinęli głowami. Wbrew swoim strojom zachowywali się bardzo kulturalnie.

- Przepraszam, jeśli wyglądałem niezbyt przyjaźnie. Błędnie oceniłem sytuację.

- Myślał pan, że zaczepiamy panią Isabelle? - zdumiał się Manny. - My? Nigdy, przenigdy! Państwo Sunderlandowie byli dobrzy dla naszej rodziny jak nikt. Ojciec pani Isabelle kupił dla moich rodziców sklep, a moi dziadkowie poznali się na ranczu North Star, gdzie pracowali.

- Widzisz więc, Davidzie, że związki między mną a tymi chłopcami mają wręcz historyczny charakter - rzekła z uśmiechem Isabelle. - Kochani, powtórzcie rodzicom, że niedługo ich odwiedzę.

- Bardzo ich to ucieszy, proszę pani - odparł elegancko Manny, który mógł mieć najwyżej szesnaście lat.

- Miłe dzieciaki - podsumował David, kiedy zostali tylko we dwoje.

- To prawda. Manny jest wyjątkowo bystry. Chce zostać lekarzem.

- Oby mu się udało. To byłby prawdziwy życiowy sukces.

Włożyła słomkowy kapelusz z dużym rondem i ruszyli razem w stronę Ogrodu Botanicznego, jakby nawet nie potrzebowali się wzajemnie pytać, dokąd idą. Zanurzyli się w przyjemnym cieniu tropikalnych drzew i poczuli słodki, upajający zapach kwitnących krzewów.

- Ich rodzina kiedyś była bardzo biedna - wyjaśniła Isabelle. - Kiedy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym huragan Tracy zmiotł z powierzchni ziemi całe Darwin, stracili dach nad głową, w ogóle wszystko. Tata uznał, że tak porządni i pracowici ludzie zasługują na pomoc i kupił im sklep z warzywami i owocami. Od tamtej pory nieźle sobie radzą.

- Twój ojciec musiał być szlachetnym człowiekiem.

- Jego dobre uczynki były niemal legendarne. Zresztą Ross poszedł w jego ślady.

- Ty i twój brat jesteście bardzo zżyci z sobą, prawda? Nachylił się, by lepiej ją widzieć, ponieważ rondo ozdobionego kwiatami kapelusza zasłaniało piękną twarz Isabelle.

Zarumieniała się lekko.

- Cóż, i tak niedługo dowiesz się o nas wszystkiego, może już nawet znasz historię naszej rodziny. Mama odeszła, gdy byliśmy dziećmi. W najczarniejszych snach byśmy się tego nie spodziewali, przecież rodzice byli z sobą tacy szczęśliwi! Tata ją po prostu wielbił.

- Co się stało? - spytał cicho.

Zagryzła wargi, lekko wzruszyła ramionami.

- Mama pojechała odwiedzić krewnych w Anglii i zakochała się w swoim kuzynie. Musiało to być naprawdę silne uczucie, skoro zupełnie straciła głowę dla tego człowieka. Zrozum, ona nie była płytką, afektowaną osobą. Pamiętam, jak mówiła, że nie ma nic lepszego niż udane, trwałe małżeństwo.

- Namiętność bywa bardzo silna, Isabelle, i potrafi przysporzyć wiele cierpienia.

Odwrociła wzrok.

- Akurat mnie nie trzeba tego mówić.

- Tak... - Musiała bardzo kochać swojego męża, pomyślał.

- Ale w życiu trzeba dokonywać wyborów. Istnieje moment, w którym możemy się jeszcze cofnąć, a moja matka nie zrobiła tego, poddała się szalonemu uczuciu i nie wróciła już do taty i do nas, chociaż starała się ściągnąć mnie i Rossa do Anglii. Nie chcieliśmy jednak porzucić taty i wyjeżdżać z Australii. To byłaby podłość wobec niego, tak to czuliśmy. Zresztą nie mieliśmy ochoty widzieć mamy po tym, co zrobiła.

Mówiła opanowanym głosem, lecz David wiedział, jak wielkie emocje musiała skrywać.

- Rozumiem, że wtedy tak się czułaś, ale czy mimo to nigdy nie zatęskniłaś za matką?

- Tęskniłam za nią każdego dnia, co jednak w niczym nie zmienia faktu, że zdradziła całą naszą trójkę. W moim przekonaniu nie ma nic gorszego niż zdrada, a karą za zdradę powinna być śmierć.

- Chciałaś, żeby twoja matka umarła? - Odwróciła się od niego, lecz zobaczył jej drżące ramiona. - Wybacz - niemal szepnął.

Musiał zwinąć dłonie w pięści, inaczej położyłby je na tych kruchych ramionach.

- Nie, oczywiście, że nie życzyłam jej nic złego. - Opanowała się i odwróciła z powrotem, ale oczy błyszczały jej podejrzanie. - To była tylko przenośnia, byś zrozumiał, jak bardzo to przeżyłam. Tamte wydarzenia ogromnie mnie zmieniły, jednak nie na lepsze.

- Czy nie jesteś dla siebie zbyt surowa?

- Nie bardziej niż inni ludzie i ich plotki na mój temat. - Zaśmiała się, by pokazać, że niewiele ją to obchodzi, jednak pobladła na samo wspomnienie.

- Masz na myśli plotki o twoim małżeństwie?

- Owszem. Pewnie już wszystko o mnie wiesz, bo ludzie obmawiali mnie w Sydney, obmawiają i tutaj, chociaż wczoraj bardzo uważali ze względu na Rossa. Lecz i tak zapewne powiedziano wystarczająco dużo, by zrobić ze mnie potwora.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Nic. Nigdy nie próbowałam udawać kogoś, kim nie jestem. Albo ktoś mi wierzy, albo nie. Nie będę z tym walczyć. Ale rozmawialiśmy o mojej matce... Przez wiele lat co roku zapraszała mnie na wakacje do Anglii. Tata nie bronił mi jechać, lecz ani razu nie skorzystałam z zaproszenia, ponieważ całą naszą trójkę wciąż bolało, że mama nas porzuciła. Podobno czas leczy rany, jak jednak widać, nie zawsze.

- Musiałaś nauczyć się żyć bez niej. Ruszyli dalej.

- Nie było to łatwe, na szczęście miałam wspaniałego ojca i brata.

- I męża, jak rozumiem?

Wiedział, że nie powinien zadawać tego pytania, lecz nie zdołał się powstrzymać.

- Nie potrafię o nim rozmawiać.



- Oczywiście. Przecież tak niedawno go straciłaś. Wybacz, nie chciałem sprawić ci przykrości.

Zawahała się. O wyznaniu prawdy nie było mowy, ale jedną rzecz mogła mu zdradzić.

- Wysłałam za mąż bez zastanowienia, może z powodu samotności, która dokucza kobietom na ranchach. Czują się jak na kompletnym odludziu. Tata i Ross całymi dniami pracowali, ja zajmowałam się domem. Praktycznie cały czas siedziałam sama.

- Nie mogłaś wyjechać do miasta?

- Zrobiłabym to, gdyby nie tata. Miałam go zostawić, kiedy był pogrążony w żałobie po utracie kobiety swego życia? Co prawda powtarzał mi, że nie wolno mi poświęcać się dla niego, mam jednak nadzieję, że moja obecność chociaż trochę mu pomagała. Przynajmniej córka chciała przy nim zostać.

Czyli nie była samolubna, lecz wielkoduszna. Kolejna plotka okazała się paskudną obmową.

- Jak poznałaś swojego męża?

- Czemu pytasz?

- Po prostu chciałem wiedzieć. - Nie z czystej ciekawości, lecz dlatego, że było to dla niego ważne.

Milczała przez długą chwilę.

- Pojechałam do Sydney odwiedzić przyjaciółkę. Jej rodzina obracała się w najlepszych sferach. Akurat w dniu mojego przyjazdu Tanya szła na wielki bal do rezydencji Hartmannów. Zapytała, czy może mnie przyprowadzić, Evelyn się zgodziła i w ten sposób poznałam Blaira. Początek jak z bajki, tylko zakończenie zupełnie inne... Oczywiście nawet nie zauważyłam, że Evelyn od samego początku poczuła do mnie niechęć, za to Blair z miejsca się zakochał. Nie mogłam się nadziwić, jak można zakochać się tak szybko.

- Czyli dla ciebie nie była to miłość od pierwszego wejrzenia? - upewnił się, cokolwiek zawstydzony faktem, że ucieszyła go ta informacja.

- To zupełnie nie w moim stylu - skłamała, myśląc o tym, jak podczas wernisazu zareagowała na Davida. Czuła się winna, przecież niedawno owdowiała, nie miała więc prawa zainteresować się innym mężczyzną. - A ty? Zakochałeś się w mig i jesteś z tą kobietą?

- Przyjaźnię się z wieloma kobietami, ale nie jestem w żadnym związku. Zresztą niby jak, skoro ciągle jeżdżę po świecie. Studiowałem architekturę, przez kilka lat pracowałem w zawodzie, a potem zacząłem podróżować, bo chciałem poznać inne kultury, zobaczyć coś nowego. I wtedy odkryłem moją pasję, czyli fotografię. Mam wielkie szczęście, ponieważ robię to, co kocham, i jeszcze mi za to płacą.

- Jeździłeś także do krajów ogarniętych wojną.

Skinął głową, czując, jak powracają do niego straszliwe wspomnienia.

- Telewizyjne relacje to jeszcze nic, rzeczywistość jest znacznie gorsza. W końcu musiałem się z tego wycofać, nie potrafiłem patrzeć na nieskończone ludzkie cierpienia, a moja śmierć nikomu by nie pomogła. Powrót do Australii i jej rozległych przestrzeni dobrze mi robi, po prostu mnie leczy. Nie da się długo bezkarnie obserwować takich okropności, bo człowiek wychodzi z tego w jakiś sposób okaleczony.

- Domyślam się... Wystarczy, co pokazują w telewizji, by przeżyć wstrząs za wstrząsem.

David westchnął, potem spojrział na zegarek.

- Chyba musimy już wracać.

- Naprawdę? - Też sprawdziła godzinę i aż uniosła brwi. Kiedy ten czas zleciał? - Rzeczywiście, wracajmy. Miło mi było pospacerować z tobą. I porozmawiać.

- Mnie również. - Zawrócili w stronę bramy. - Nie wiesz, czy Ross zmienił zdanie i zgodzi się zabrać Samantę? Byłaby głęboko rozczarowana, gdyby nie mogła z nami jechać. To naprawdę dzielna dziewczyna, ręcę za nią. Chciałbym też zabrać Matta, obiecałem, że zrobi część zdjęć do albumu. W ten

sposób pomogę mu się wybić. To zdolny fotograf, choć musi jeszcze ciężko pracować, by stworzyć swój własny styl... Technika to jedno, ale przede wszystkim chodzi o sposób patrzenia na świat i ludzi. Musi po prostu dojrzeć... choć już taki młodziutki nie jest.

- Aha... - Isabelle powstrzymała się od komentarza. David niewątpliwie cenił i lubił Matta, jednak właśnie mimowolnie bardzo go skrytykował. Ponad trzydziestoletni mężczyzna, który dopiero musi dojrzeć... Wiedziała coś o tym. Taki ktoś raczej już nigdy nie dojrzeje, co źle wróży nie tylko jemu, ale przede wszystkim kobiecie, która się z nim zwiąże. - Musisz być bardzo dumny z Samanty. Jej kariera dobrze się rozwija.

- To dowód, że jednak jest sprawiedliwość na tym świecie. - Uśmiechnął się. - Samanta napisze teksty do zdjęć. Aż szkoda, że sama nie fotografuje, bo ona to dopiero ma oko! Ilustracje w jej książkach to czysta magia. No i magia jej słowa... Moja mała siostrzyczka jest nieprawdopodobnie utalentowana, a przy tym bardzo mądra, bo to nie zawsze idzie w parze. Z czasem stanie się sławna.

- Myślę, że jest na najlepszej drodze do tego. A co do decyzji Rossa... Długo wczoraj rozmawialiśmy i w końcu przeważył argument, że chciałabym mieć kobiece towarzystwo. Zresztą opuszczenie domu na jakiś czas dobrze mi zrobi, za długo już siedzę zamknięta w czterech ścianach i obsesyjnie myślę o tym, co było. Czasami wydaje mi się, że oszaleję od tego... Tak więc postanowione. - Spojrzała na Davida. - Cieszysz się?

- Z tego, że z nami jedziesz?

Ton, jakim zadał to pytanie, oraz wyraz jego ciepłych, miodowych oczu spowodowały, że Isabelle na moment wstrzymała oddech. Jej policzki zarumieniły się lekko.

- Z tego, że jedzie Samanta.

Z uśmiechem wziął ją pod rękę.

- Wiesz, mam dwa powody do radości.

## *ROZDZIAŁ CZWARTY*

Potem sprawy potoczyły się szybko. W poniedziałkowe popołudnie podróżnicy znajdowali się już w North Star, gotowi wyruszyć następnego ranka. Zamierzali dotrzeć do parku Kakadu od jego zachodniej granicy. Czasu nie mieli zbyt wiele, bo powoli zbliżała się pora deszczowa, kiedy to trawiaste równiny znajdują się pod wodą. Wciąż jeszcze było sucho i upalnie, lecz co jakiś czas pojawiały się błyskawice, zwiastuny potężnych burz.

Zjedli kolację w dużej, eleganckiej jadalni, której nie używano na co dzień, jak wyjaśniła Samancie Isabelle. Ona i Ross jadali w kuchni, zresztą też ogromnej. Samanta ciągle nie mogła wyjść z podziwu, jaki odczuła na widok wielkiego jednopiętrowego domu z drewnianych bali, pomalowanych na biało. Parter i piętro obiegały werandy. Pochodząca jeszcze z pionierskich czasów rezydencja Sunderlandów była położona w rozległym ogrodzie, całość zaś wyglądała niezwykle malowniczo. Samantę aż świerzbiły palce, by wyciągnąć szkicownik i przenieść na papier dom, otaczające go wysokie drzewa, z których zwieszały się kwitnące pnącza, i storczyki w tysiącu chyba odmian. Potężne monstery rozpościerały lśniące dziurawe liście, bugenwille płonęły szkarłatem...

Stała bez ruchu na podjeździe wysypanym żwirem i dosłownie pożerała wszystko wzrokiem.

- Ross, to jest niesamowite! Zupełnie jakbym trafiła na plan filmowy, a akcja działa się w jakimś egzotycznym kraju.

- Miło mi, że ci się podoba.

Mało brakowało, a pocałowałby ją. Wyglądała prześlicznie, chociaż nie każdemu służył gorący i bardzo wilgotny klimat. Skóra jej się zaróżowiła, oczy lśniły, miedziane włosy związane w koński ogon połyskiwały w słońcu. A przede wszystkim zachwycała się jego domem.

Kiedy weszli do środka przez bogato zdobione drewniane drzwi, nie posiadała się ze zdumienia.

- Ten hol jest większy niż całe moje mieszkanie! Jak to jest żyć w takiej rezydencji?

- Nie odpowiem ci, bo nie mam porównania. Masz własne mieszkanie?

- A co, myślałeś, że śpię pod mostem?

- Mogłaś mieszkać z matką.

- Nigdy mi tego nie proponowała, zresztą nie przepadam za jej drugim mężem.

Prawdę powiedziawszy, nienawidziła go, gdyż za bardzo lubił obściskiwać swoją pasierbicę. Samanta starała się unikać go jak ognia.

- Taak, miłość to skomplikowana sprawa... - mruknął. - Czym ona właściwie jest?

- Tym, co czuję do swojego brata, a ty do swojej siostry.

- A miłość romantyczna?

- To szalone pragnienie, zazwyczaj żywione wobec niewłaściwej osoby.

- Przynajmniej w jednym się zgadzamy. Kiedy ostatni raz czułaś owo szalone pragnienie? - zagadnął, obserwując ją uważnie, gdy chodziła po całym holu, najpierw oglądając ozdobne tkaniny na ścianach, a potem okrągły stół, na którym stały bajecznie kolorowe kwiaty przyniesione z ogrodu oraz wielka klatka z rajskim ptakiem, jeszcze bardziej kolorowym niż kwiaty.

- Kiedy urządziliśmy zawody pływackie.

- O!

- Czułam szalone pragnienie, żeby cię pokonać. - Postanowiła zmienić temat na bezpieczniejszy, dlatego weszła na schody, gdyż na podeście znajdowało się okno z przepięknym witrażem, przedstawiającym lilie wodne w niewielkiej zatoce obrzeżonej trzcinami. Właśnie świeciło przez nie słońce. Gdy wielobarwne promienie padły na Samantę, jej włosy jakby zapłonęły żywym ogniem. - To secesja? - spytała zaskoczona, że Ross stoi tuż za nią.

- Nie znam się na sztuce tak dobrze jak ty - rzekł z roztargnieniem, zajęty podziwianiem gry świateł na jej pięknych włosach. Przemknęło mu przez głowę,

że pewnie przynajmniej jedno z dzieci Samanty odziedziczy po mamie ten wspaniały miedziany kolor. - To dzieło pewnego japońskiego artysty.

- W sztuce secesyjnej są bardzo silne wpływy japońskie. Jak to się stało, że ten witraż przetrwał tyle lat? Przecież zdarzają się tu potężne burze, a nawet huragany.

- Na zewnątrz są mocne okiennice. Chodź, pokażę ci twoją sypialnię. Pokój okazał się równie malowniczy, jak reszta domu.

- Jak tu pięknie!

- Nie musisz się tak wszystkim zachwycać - wycedził, wbijając ręce w kieszenie.

- Kiedy ja nie potrafię inaczej! - Zrobiła taneczny piruet, usiadła na ogromnym łóżu i zaczęła na nim podskakiwać, a potem położyła się na wznak i z lubością przesunęła dłońmi po przyjemnie śliskiej turkusowej narzucie w tropikalnej kwiaty.

Nad łóżkiem wisały żółte moskitiery, żółte były także zasłony przy oknach i drzwiach. Wszystkie meble były stare, drewniane, bogato rzeźbione - szafa, krzesła, skrzynia na pościel. W jednym kącie stał chiński parawan, w drugim malowany porcelanowy żuraw.

- Naprawdę prześliczny pokój. Co za szkoda, że spędzę w nim tylko jedną noc.

Ross powinien być zadowolony, że tylko jedną, ale jakoś mu się nie udawało.

- No to faktycznie się nim naciesz, bo nie wiadomo, ile przyjdzie ci spędzić pod namiotem deszczowych nocy - rzucił nieco szorstko, gdyż widok Samanty leżącej na łóżku z rozrzuconymi ramionami działał na niego... No, po prostu działał na niego.

Wstała, jakby wyczuła zmianę jego nastroju.

- Czy ty w ogóle nie potrafisz się bawić?

- Nie, jestem cholernie poważnym facetem - odparł kpiąco.

- W takim razie przykro mi, jeśli irytuję cię moim pogodnym usposobieniem. Mogę obejrzeć resztę domu i park? Tu jest naprawdę cudownie!

- A oglądaj sobie, co chcesz. - Nagle dodał, zaskakując nie tylko ją, ale i samego siebie: - Za jakieś pół godziny robię mały objazd, żeby ostatni raz sprawdzić, czy wszystko w porządku. Mogę cię zabrać z sobą, jeśli masz ochotę.

- Fantastycznie! - rozpromieniła się. - Czyli jednak masz i miłą stronę charakteru.

- Cały czas ci ją pokazuję, tej niemiłej to ty jeszcze nie znasz... Aha, tylko się przebierz, nie życzę sobie żadnych szortów.

- Dlaczego ciągle masz jakieś uwagi do moich ubrań?

- Po prostu apeluję o zdrowy rozsądek. Nie kłębią się tu tabuny pięknych długonogich dziewczyn. Nie chcę, żeby moi ludzie napalali się na ciebie.

- Rozumiem, że o siebie się nie boisz? - rzuciła prowokacyjnie.

- Mam pewien dobry zwyczaj, a mianowicie trzymam się z dala od kłopotów. Mnie zajmuje tylko North Star, nic ponadto. - Ruszył ku drzwiom.

- Przynajmniej do czasu, aż nie uporasz się sam z sobą - mruknęła.

Zatrzymał się gwałtownie.

- Słucham?

- Nic, nic. Czasem zdarza mi się powiedzieć coś bez zastanowienia.

- Zauważyłem. Zaraz przyślę tu kogoś z twoimi bagażami. Czekać na dole za dwadzieścia minut.

- Tak jest, sierzancie.

- Próbujesz ze mną zadzierać?

- Gdzieżbym śmiała.

- To dobrze. Aha, jeszcze jedno...

- Zamieniam się w słuch. - Zwinęła dłoń w trąbkę i przyłożyła do ucha.

- Trzymaj się z dala od Matta.

- Co takiego? Może jeszcze mam z nim nie rozmawiać? - oburzyła się. -

To mój przyjaciel.

- Nie obchodzi mnie to. Słyszałaś, co powiedziałem. Żadnych flirtów podczas wyprawy. Żadnego obejmowania się i innych rzeczy w tym guście, jasne?

- Aleś ty jesteś świętoszkowaty! Ross wybuchnął śmiechem.

- Rzeczywiście, jestem powszechnie znany z niezłomnego przestrzegania cnoty czystości.

Następnego dnia Samanta jechała w dziapie razem z Rossem i Joem Goolattą, do którego poczuła ogromną sympatię. Wszystko jej objaśniali, opowiadali o osobliwościach parku Kakadu, różnych rodzajach krokodyli, kilkunastu wodospadach, które nie wysychały nawet w czasie suszy, wodospadzie Jim Jim, który spadał jednym nieprzerwanym strumieniem przez dwieście metrów, liczących ponad dwadzieścia tysięcy lat aborygeńskich malowidłach na skałach, a także o tym, że Joe pochodzi z Kakadu i należy do starszyny plemienia żyjącego na tych terenach od pięćdziesięciu tysięcy lat.

Po tej ostatniej informacji Samanta z uśmiechem odwróciła się do Joego, który siedział z tyłu, i powiedziała:

- Aż trudno w to wszystko uwierzyć. Nie mogę się doczekać, kiedy na własne oczy zobaczę te wszystkie cuda, zwłaszcza święte miejsca twojego ludu. Nawet się nie domyślasz, jak się cieszę, że mam tak wspaniałych przewodników. I nie wiesz, jakie to wszystko dla mnie cudowne i inspirujące. Piszę i ilustruję książki dla dzieci - dodała dla wyjaśnienia.

- Wiem, Ross mi powiedział.

- Chcesz zobaczyć, co potrafię?

- Pewnie! - Roześmiał się przyjaźnie.

Z miejsca poczuł słabość do tej promiennej, pełnej ciepła młodej kobiety, która nie uważała siebie za kogoś lepszego, chociaż mieszkała w wielkim mieście tak samo jak Hartmannowie.

Nachyliła się i wyjęła z plecaka szkicownik oraz węgiel do rysowania.

- Tylko nie podglądaj! - przykazała Rossowi.



- Dobra - obiecał z rozbawieniem i zerknął we wsteczne lusterko, sprawdzając, czy drugi dżip, prowadzony przez Davida, jedzie za nimi.

Na razie podróżowało się łatwo. Dopiero co wjechali na teren parku narodowego. Równiny porastała tu niewysoka trawa, gdzieniegdzie usiana pojedynczymi drzewami i skalnymi ostańcami.

Kilka minut później Samanta wydarła kartkę ze szkicownika i podała Joemu, który, wyraźnie poruszony, przestał się uśmiechać.

- Panienska Sammy zrobiła coś, czego jeszcze nikt nie zrobił. Panienska narysowała mnie!

- Podoba ci się?

- No, ja tam taki ładny nie jestem jak na tym rysunku.

- Pokaż. - Ross wyciągnął rękę po kartkę.

- Wyszłoby mi lepiej, gdybym rysowała na stole, a nie w jadącym samochodzie...

Ross zerknął na rysunek.

- Dobra, nie tłumacz się.

- Aż tak źle?

- Aż tak dobrze. - Odwrócił głowę w bok i posłał Samancie szeroki uśmiech. - Joe jak żywy! Moje gratulacje.

Zaskoczył ją zarówno tym uśmiechem, jak i szczerością swojego uznania.

- Dziękuję. Może ciebie też narysować?

- A nie wolisz najpierw poznać mnie lepiej? - W jego wzroku coś błysnęło.

Pomyślała o tym, w jaki sposób mogłaby poznać go lepiej, więc z trudem zapanowała nad drzeniem głosu.

- Dobrze, poczekam. Podał kartkę do tyłu.

- Joe, powinienes to sobie oprawić.

- I tak zrobię - oświadczył Joe z powagą. - Panienska Sammy to prawdziwa artystka.

- Jeszcze nie, ale się staram. Joe, jak sądzisz, czy mogłabym włączyć niektóre z waszych mitów i legend do moich opowieści? Nie wiem, czy to by was nie uraziło, a za nic bym tego nie chciała.

Joe zastanawiał się przez chwilę.

- Panienska nikogo nie obrazi, bo jest bardzo wrażliwa. Myślę, że panienska zrozumie nas lepiej niż inni i więcej zobaczy w naszych świętych miejscach. Chętnie przekażę nasze opowieści, bo niektóre giną, a panienska może chociaż część ocali w swoich książkach.

- To dla ciebie wielki komplement - powiedział Ross, zaintrygowany postawą Joego, który doskonale znał się na ludziach. Widać Samanta Langdon miała coś więcej niż śliczną buzię i ponętne ciało.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Zerknęła na niego z ukosa. Miała nadzieję, że nie domyślał się, jak bardzo na nią działał. Już samo siedzenie obok niego powodowało, że czuła się bardzo dziwnie. Dotąd nie doświadczała czegoś równie intensywnego. Nie nazwałaby tego miłością od pierwszego wejrzenia, zważywszy na to, że od samego początku po prostu się żarli, w każdym razie już to pierwsze spojrzenie wystarczyło, by wywołać w Samancie gwałtowną reakcję.

Matt Howarth siedział na tylnym siedzeniu drugiego dżipa i przeklinał swój niefart. Sprawy poszły nie po jego myśli. David i siostra Sunderlanda, piękna, lecz zimna jak lód, rozmawiali przez cały czas, poruszając dziesiątki tematów i najwyraźniej dobrze się czując w swoim towarzystwie, podczas gdy on miał ochotę gryźć palce z zazdrości, myśląc o Samancie, która jechała w innym samochodzie. Dave i Isabelle próbowali wciągnąć go do konwersacji, lecz nie udało im się to i w końcu przestali go zagadywać.

Matt nie spodziewał się, że zostanie rozdzielony z Samantą. Już miała wsiąść razem z nim, gdy ten ich arogancki przewodnik rzucił rozkazującym tonem:

- Ty jedziesz ze mną.

To było jak policzek. Za kogo on się uważał, ten cały hodowca bydła? Wszyscy ci wielcy ranczerzy z północy byli tacy sami - bogaci, mieszkający w rezydencjach godnych lordów, głęboko przekonani o ważności tego, co robią, zupełnie jakby bez nich gospodarka kraju miała się zawalić. Zachowywali się jak arystokracja, zresztą za taką tu uchodzili.

Jednak Matt nie zamierzał pozwolić, żeby taki hrabia od bydła odebrał mu kobietę, którą kochał tak bardzo, że żadna inna nie wytrzymywała porównania z nią. Na przykład Isabelle Hartmann zapewne była piękniejsza, lecz Matt z miejsca uznał jej urodę za zbyt chłodną, zbyt mało pociągającą. Zresztą słyszał, jak mówiono o tej kobiecie, że jest bezduszna i fałszywa, że doprowadziła do śmierci swego męża, który był jej bezgranicznie oddany. No i faktycznie wyglądała mu na zimną sukę.

Co innego Samanta - żywiółowa, zawsze uśmiechnięta, z burzą płonących włosów, z uroczo zadartym noskiem, ze zmysłowymi ustami, które aż błagały, żeby je całować. Matt zakochał się w Samancie od pierwszego wejrzenia, lecz musiał postępować ostrożnie ze względu na jej brata, od którego zależała cała jego przyszłość zawodowa. Dave faktycznie wyciągnął go z dna, kiedy Matt stracił pracę w telewizji. Wycisnęli go jak cytrynę, a gdy z przepracowania rozsypał się psychicznie, po prostu wyrzucili na bruk. Jakiś czas potem poznał Davida, który podał mu pomocną dłoń. Był mu bezwzględnie lojalny i oddany, dlatego nie mógł uwieść jego siostry. Musiał cierpliwie czekać, aż ona go pokocha.

I chyba wszystko było na najlepszej drodze, by tak się stało, gdyż Samanta zaprzyjaźniła się z nim, czasem przyjmowała zaproszenie na koncert rockowy, jakiś ciekawy mecz czy inne wydarzenie. Nigdy nie proponował, by razem poszli do kina czy do restauracji, wybierał tłumne imprezy, by nie stwarzać wrażenia, że się narzuca. Mimo to raz udało mu się ją pocałować i do tej pory żył tym wspomnieniem, czerpiąc z niego nadzieję na przyszłość.

Ściany jego pokoju były obwieszane dużymi zdjęciami Samanty roześmianej, zamyślanej, pogrążonej w rozmowie, spacerującej, rysującej... Zrobił jej setki zdjęć, o czym nie miała pojęcia, czasem nawet nie wiedziała, że Matt znajdował się wtedy w pobliżu. Mógł na nią patrzeć godzinami, gdyż kochał ją bezgranicznie. Matka nazwałaby to obsesją, ponieważ gdy tylko mogła, wytykała mu maniackalne zachowania. Matt od dłuższego czasu jej unikał, bo zupełnie go nie rozumiała, uznając za wady jego największe zalety, czyli bezwzględną lojalność i zdolność do głębokiej, żarliwej miłości.

Zdobędzie Samantę. Niedługo udowodni swoimi zdjęciami, że jest znakomitym fotografem, więc Dave ucieszy się z takiego szwagra. Matt będzie kochał Samantę tak, jak nikt inny na świecie nie kochał żadnej kobiety. Będzie dużo pracował, żeby miała wszystko i czuła się bezpiecznie. W zamian sama zrezygnuje z pracy, będzie żyła tylko dla niego. Na pewno! Była taka cudowna, a kiedy go pokocha, wszystko inne przestanie być dla niej ważne.

A on dzięki niej stanie się silny. Najwspanialszy mąż najwspanialszej żony!

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Dwa dni później Sammy i Belle zostały same w obozie, gdyż mężczyźni uznali, że kolejne miejsce, które David zamierzał sfotografować, jest zbyt niedostępne, by mogli je zabrać z sobą.

- Traktują nas, jakbyśmy byli francuskimi pieskami - zżymała się Samanta.

- No, może trochę - zgodziła się Isabelle. - Ale nie martw się, i tak dużo zobaczysz.

- Masz rację. Tyle już widziałam, a ile jeszcze przed nami! - Natychmiast się rozpromieniła. - Ogromnie się cieszę, że jestem z wami, a wszystko to dzięki tobie. Twój drogi brat nigdy by mnie z sobą nie zabrał.

Isabelle uśmiechnęła się lekko, słysząc sarkazm w głosie nowej przyjaciółki. Ross i Samanta wciąż skakali sobie do oczu, co było oczywistym znakiem, że ich serca rwały się do siebie. Belle bardzo to cieszyło.

- Chyba już udowodniłaś mu, że mylił się co do ciebie. - Wahala się przez chwilę. - Czy będę bardzo niedyskretna, jeśli spytam, czy ciebie i Matta coś łączy?

Samanta ubiła natrętnego moskita.

- Tylko się przyjaźnimy. Poznałam go, gdy został asystentem Davida.

- Wiesz, że on się w tobie kocha? - sondowała dalej Isabelle, którą od początku wyprawy niepokoiło zachowanie Matta.

Wydawał się niezmiernie sympatyczny, lecz miała zbyt wiele doświadczenia, by nie zauważyć, jak bardzo jest skryty. Davy określił go słowem „niedojrzały”, lecz prawda chyba była jeszcze gorsza. Czyżby, podobnie jak Blair, miał skłonność do obsesji? Tacy ludzie, jeśli nie są leczeni psychiatrycznie, mogą stać się dla innych niebezpieczni. Wiedziała coś o tym...

- Nie mów takich rzeczy! - jęknęła Samanta.

- Ani na moment nie spuszcza z ciebie oczu. I chyba jest zazdrosny.

- O twojego brata? - Samanta się zarumieniła. Też zauważyła, że Matt popatruje na Rossa nieprzychylnie, chociaż zachowuje się wobec niego uprzejmie.

- Tak. David natychmiast zaprzyjaźnił się z Rossem, natomiast Matt reaguje na niego dość nerwowo, choć stara się tego nie pokazywać. Mam wrażenie, że czuje się odstawiony na boczny tor i trudno mu się z tym pogodzić. Niektórzy ludzie muszą czuć się potrzebni. - Przebiegł ją zimny dreszcz na samo wspomnienie. - Zauważyłaś, jaki zrobił się poirytowany wczoraj wieczorem, kiedy po raz pierwszy ty i Ross przestaliście się spierać i przyjaźnie gawędziliście?

- Cóż, niezależnie od tego, że działamy sobie na nerwy, w wielu sprawach zgadzamy się z twoim bratem. Nie wiem tylko, co zrobić, żeby Matt przestał się boczyć.

- Przede wszystkim bądź ostrożna - ostrzegła Isabelle. - W przeciwnym razie możesz mieć z nim kłopoty, chociaż pewnie niewielkie, bo bardzo mu zależy na tym, żeby być współautorem albumu Davida, więc nie będzie ryzykował. - Sięgnęła po kubek z kawą. - Słuchaj, co byś powiedziała, gdybyśmy same wybrały się na małą wycieczkę?

- Sierżant się wkurzy.

- O, tak go nazywasz?

- Tylko mu tego nie powtarzaj, i tak wystarczająco źle się między nami układa.

Isabelle uniosła brwi.

- Doprawdy? Moim zdaniem układa się całkiem dobrze.

Mężczyźni wrócili wieczorem. Opowiadali jeden przez drugiego, że mieli fantastyczny dzień. Tylko Matt był w kiepskim nastroju, gdyż na mokradłach dotkliwie pocięły go moskity.

- Jeśli nie przestaniesz się drapać, to jeszcze bardziej wszystko zaognisz i oszalejesz od swędzenia - ostrzegła Samanta. - Dam ci maść z hydrocortisonem,

powinna trochę pomóc. Widziałeś krokodyla? - spytała, gdy szli w stronę namiotu, który dzieliła z Isabelle.

- Aż za dużo - odparł gderliwie. - Nie mogłem się doczekać, kiedy wrócimy. Bagna, błoto, duchota, węże, chmary owadów i korzenie, o które się ciągle potykasz.

- David koniecznie chciał zobaczyć te bagna. Na pewno porobił wspaniałe zdjęcia. Ma niesamowite oko.

Chwycił ją za ramię, zmuszając, by się zatrzymała.

- Ja też mam. David we mnie wierzy. To mój przyjaciel - wyrzucał z siebie gwałtownie.

Uwolniła się, nieprzyjemnie zaskoczona jego dziwnym zachowaniem.

- Co się z tobą dzieje? Myślałam, że spodoba ci się ta wyprawa, ale wciąż narzekasz, w odróżnieniu od nas wszystkich. Słuchaj, nie wjechaliśmy jeszcze daleko w głąb parku, więc możesz zawrócić, jeśli chcesz. Pomieścimy się w pięcioro w jednym dżipie.

Poczuł taki ból, jakby ktoś wymierzył mu cios.

- Chcesz się mnie pozbyć? - Głos mu się załamał.

- Matt, rozumiem, że dzisiejsza wycieczka wytrąciła cię z równowagi, ale może spróbujesz się opanować? Ross na nas patrzy.

- Do diabła z nim! - wybuchnął. - Co, mam się go bać?

Coraz bardziej zaniepokojona Samanta ruszyła przed siebie.

- Nie poznaję cię, Matt. W ogóle się nie cieszysz z tego wyjazdu.

- A z czego mam się cieszyć? Moskity prawie zjadły mnie żywcem.

- Przykro mi - rzekła łagodniej. - Poczekaj tutaj, zaraz przyniosę ci maść.

On jednak wszedł za nią do namiotu.

- Tak, cieszyłem się na tę wyprawę, ponieważ myślałem, że będziemy razem.

Odwróciła się i ujrzała wyraz udreki na jego twarzy, więc starała się odpowiedzieć najdelikatniej, jak potrafiła:

- Matt, mój drogi, przecież jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, a to naprawdę dużo.

- Wiesz, że chciałbym więcej. - Ponownie chwycił ją za ramię.

Czemu nie odgadłam wcześniej, do czego to wszystko zmierza? - pomyślała coraz bardziej zaniepokojona.

Uwolniła rękę.

- Mogę ci zaofiarować tylko przyjaźń. Roześmiał się histerycznie.

- To przez Sunderlanda, prawda? Widzę przecież, co się dzieje. Niby się ciągle kłócicie, ale to tylko dla zamydlenia innym oczu.

- Mówisz głupstwa. - Cofnęła się o krok. Nigdy nie widziała Matta w podobnym stanie.

- Mówię prawdę. Ale niedługo ten zarozumiały drań zniknie z twojego życia i więcej go nie zobaczysz.

Policzyła w duchu do dziesięciu, zanim odpowiedziała.

- Chyba mylisz zarozumiałość z poczuciem własnej wartości. Ross ma z czego być dumny, gdyż wiele osiągnął własną pracą. I jak można go pomawiać o zarozumiałość, skoro traktuje aborygeńskiego pracownika jak członka rodziny? Nie zasłużył również na miano drania. - Sięgnęła do apteczki po maść. - Proszę, to powinno ci pomóc.

Zrozumiał, że przeszarżował i stracił u niej punkty, nie pozostało mu więc nic innego, jak okazać skruchę. Zwiesił głowę.

- Wybacz. Rzeczywiście nie byłem wobec niego sprawiedliwy, to faktycznie jest ktoś... Jeszcze raz przepraszam. Sammy, czy możesz dać mi szansę?

Współczuła mu, lecz nie zamierzała zmieniać zdania.

- Naprawdę nie mogę ci dać nic więcej oprócz przyjaźni, przykro mi. A teraz chodźmy, czekają na nas z kolacją.

Chciała go wyminąć, lecz chwycił ją w pól.



- Sammy, proszę! - błagał, jednocześnie czując przez ułamek sekundy, że jej nienawidzi.

Wywinęła się z jego objęć.

- Wszystko w porządku? - rozległ się od wejścia głęboki głos.

Ross wszedł do środka, zaś Samanta szybko podeszła ku niemu, jakby był jej wybawcą. Jeszcze nigdy tak się nie ucieszyła na czyjś widok.

- Właśnie wychodziliśmy. Dałam Mattowi maść na ukąszenia komarów.

- Mogłeś się rano spryskać odstraszcaczem. Proponowałem ci to.

Następnym razem lepiej skorzystaj. - Ross odsunął się, przepuszczając Samantę.

Matt również wyszedł, dusząc w sobie zjadliwą odpowiedź. Nie cierpiał Sunderlanda, lecz wolał z nim nie zadzierać. Rozwścieczony ruszył przez zarośla w stronę ogniska, przy którym siedzieli pozostali.

- Co jest grane? - spytał Ross.

Samanta nie zamierzała opowiadać, co zaszło. Najpierw musiała sama wszystko przemyśleć.

- Matt jest trochę nie w sosie. Tak bywa z bardzo wrażliwymi ludźmi.

Ross się zaśmiał.

- A może powinien wreszcie dorosnąć?

- Nie bądź niesprawiedliwy, nie każdy jest tak zahartowany jak ty. - Szła obok niego, całą sobą wyczuwając jego obecność, która wprawiała ją w drzenie. Zachowujesz się przy nim jak zadurzona nastolatka, zgaśniła się w myślach.

- To rozsądny człowiek, nie wiem, dlaczego ostatnio zaczął się tak zachowywać.

- Naprawdę go dobrze znasz? A może tylko tak ci się wydaje? -

Przystanął. - Powiesz mi, jeśli zaczniesz ci się narzucać? Bo Davidowi powiesz na pewno, prawda?

Przez chwilę nie odpowiadała, tylko stała i patrzyła na niego, czując, jak cała mięknie w środku, jak się roztopia i rozplywa na sam widok Rossa.

- Matt nic nie robi, raczej nie jest człowiekiem czynu. W dodatku nie odważy się narazić Davidowi, za dużo miałby do stracenia. Może źle znosi tutejszy klimat, może ta wyprawa trochę go przerosła, ale pewnie niedługo dojdzie do siebie.

- Ciekawe, że ciebie nie przerosła.

- Och, ja mam silną motywację, bo chcę zrobić na tobie wrażenie - rzuciła lekkim, żartobliwym tonem, chociaż mówiła całkowitą prawdę. A raczej właśnie dlatego, że mówiła prawdę.

- I całkiem nieźle ci to idzie - rzekł tak niechętnie, jakby przyznawał się do słabości. - A jeśli chodzi o Matta, to przecież wiedział, że nie jedziemy na piknik.

- Daj mu szansę, Ross.

Gdy tylko wymawiała jego imię, stawał się niemal bezradny i myślał już tylko o tym, by porwać ją w ramiona. Tej nocy owo pragnienie okazało się szczególnie dojmujące, musiał więc z całej siły zwinąć dłonie w pięści, żeby nie poddać się pokusie.

- Dobrze, ale tylko dlatego, że tak ładnie się za nim wstawiasz - powiedział z wyraźną kpina, żeby Samanta nie domyśliła się, jak łatwo mogłaby owinąć go sobie wokół palca. Postanowił zmienić temat. - Podobno poszłyście na wycieczkę, jak nas nie było?

- Świetnie się bawiłyśmy, no i czułam się bezpiecznie, bo Isabelle jest znakomitym przewodnikiem. W dodatku trudno o fajniejsze towarzystwo.

- Ona mówi to samo o tobie. Bardzo się cieszę, że Belle znalazła przyjaciółkę. Nareszcie zaczyna wychodzić z żałoby. Przyznaję, nie miałem racji, sprzeciwiając się twojemu uczestnictwu w naszej wyprawie. Twoja obecność to rzeczywiście duży plus.

- A widzisz! - stwierdziła z triumfem.

- Co nie znaczy, że zamierzam zaprosić cię do mojego namiotu.

Serce podskoczyło jej w piersi.

- Nie mam ochoty na takie gierki, więc daruj sobie.  
- Taak? Nie powiesz mi, że ani razu o tym nie pomyślałaś?  
- Fakt, przeszła mi taka myśl przez głowę, ale to jeszcze nie powód, by ją rozgłaszać wszem i wobec.

- Przecież i tak właśnie się przyznałaś.  
- Za to ty nigdy z niczym się nie zdradzisz. Jesteś niebezpieczny.  
- Skąd możesz wiedzieć?  
- Po prostu wiem.  
- Nic ci nie grozi z mojej strony, nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy. Za to nie dam głowy za tego twojego przyjaciela. Matt coraz mniej mi się podoba, będę miał na niego oko.

- Z Mattem potrafię poradzić sobie sama, więc zostaw to mnie, dobrze? - stwierdziła z irytacją. - To z tobą mam kłopot.

Zmierzył ją spojrzeniem. Jak zwykle wyglądała cudownie kobieco.

- Ty? Przecież przy tobie mężczyźni muszą padać jak muchy.  
- O, czyżbyś z kolei myślał, że to ja jestem niebezpieczna? - ucieszyła się.  
- Zgadza się.  
- Czy wyglądam niebezpiecznie?  
- Nie zamierzam prawić ci komplementów.  
- Zdziwiłabym się, gdybyś zaczął... Wiesz co? Wreszcie zrozumiałam.

Uważasz, że gdybyś się z kimś związał, to jakbyś założył sobie stryczek na szyję.

Przypomniął sobie rodziców. Przypomniął sobie, jak mama siedziała przed lustrem, czesząc włosy, a tata wyjmował jej grzebień z ręki i sam ją czesał, przyglądając się żonie rozkochanym wzrokiem.

- Czy też skoczył w przepaść. Przez moment lecisz i jest ci jak w niebie, a potem spadasz i trafiasz na dno piekła - rzekł ponuro.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś mówił z własnego doświadczenia.

Nie chcę tego, pomyślał. Ona mnie opętała, nie zgadzam się na to, bo wiem, do czego to prowadzi. Widziałem, jak to się kończy. Zostałem ostrzeżony. Powtarzał sobie to wszystko, lecz krew w nim wrzała. Ta kobieta rządziła jego myślami, królowała w jego snach, nie mógł uwolnić się od niej ani na chwilę. Chyba rzuciła na niego czar, bo co innego? Czuł się, jakby ktoś go pochwycił w jedwabną sieć.

- Kiedy tylko cię zobaczyłem... - Urwał, zanim zdążył powiedzieć za dużo.

- Tak? - spytała bez tchu, w napięciu czekając na dalsze słowa.

Opanuj się, przykazał sobie i z powrotem ukrył się za maską cynika.

- ...wiedziałem, że będzie mi potrzebna zbroja - wycedził. - Lepiej już chodźmy, bo kolacja wystygnie.

Musiała podbiec, żeby dołączyć do niego.

- Jasne, najlepiej zmienić temat. Bardzo jestem ciekawa, co naprawdę chciałeś powiedzieć.

- A ja bardzo się dziwię, że w ogóle cokolwiek powiedziałem.

- O, zaczynasz tracić swoją legendarną samokontrolę? To byłby interesujący widok!

- Dzisiaj na pewno go nie zobaczysz. A jutro? Kto wie? Jutro Joe będzie przewodnikiem Davida i Matta, a ja zabiorę ciebie i Belle w ładne miejsce, gdzie można popływać. To nagroda za to, że byliście grzeczne i nie narzekałyście, kiedy zostawiliśmy was w obozie.

- Rossie Sunderlandzie, jesteś chodzącą zagadką.

- Którą koniecznie chcesz rozwiązać. To co? Podziękujesz mi?

- Czekaj, muszę ochłonać po takiej dawce przychylności z twojej strony. Jestem tak wzruszona, że aż mam łzy w oczach.

W tym momencie powiedział coś, co uciszyło ją radykalnie:

- Niemal czuję ich smak na języku.

Zabrzmiało to bardzo zmysłowo. Samantę przebiegł gorący dreszcz, jakby Ross naprawdę jej dotknął. Czowała, jak krew napływa jej do twarzy. Och, co za perwersyjny facet!

Po kolacji wszyscy usiedli na drewnianych leżakach, rozmawiając przyciszonymi głosami, ciesząc się urodą kolejnej pięknej nocy, którą spędzali w kompletnej głuszy. Tu powietrze było tak cudownie czyste, że niebo wydawało się aż jasne od gwiazd, które wyglądały jak małe okienka otwarte na raj, skąd na ziemię spływało niebiańskie światło. Samanta wkrótce przestała brać udział w rozmowie i tylko wpatrywała się w przestrzeń, wdychając słodki zapach kwitnących krzewów.

- Zasnęłaś - odezwał się nagle ktoś obok niej. Gwałtownie otworzyła oczy i jej wzrok padł na Rossa. Zaczęła sobie wyobrażać, co by było, gdyby znajdowali się tu tylko we dwoje... Tak, zakochała się w nim, i to w momencie, gdy ich spojrzenia spotkały się po raz pierwszy.

- Przynajmniej już wiesz, że nie chrapię - skwitowała, starając się nie pokazać po sobie, co czuje.

Rzucił koc na ziemię i położył się na nim.

- Za to mówisz przez sen. Nachyliła się, zajrzała mu w twarz.

- A co takiego mówiłam?

- Raczej mamrotałaś...

- Dzięki. Wychodzi na to, że mnie szpiegujesz.

- Każdej nocy.

- Co takiego?!

- Kiedy już wszyscy śpią, robię obchód obozu, i dopiero wtedy sam się kładę.

Odetchnęła z ulgą i wyciągnęła się z powrotem na leżaku, zakładając ręce za głowę. Udawała zupełnie rozluźnioną, chociaż w rzeczywistości wszystko w niej dygotało i aż płonęła z pożądania.

- Udało ci się mnie nabrać, przyznaję. Wiesz, co chciałabym zrobić?

- Położyć się przy mnie na kocu? Znowu próbował wytrącić ją z równowagi.

- Nie, to nie byłoby rozsądne, nie sądzisz? Wolę zachować ostrożność.

- A myślisz, że co mogłoby się stać? - spytał drwiąco, chociaż doskonale wiedział, co by jej groziło. To, że nigdy nie miałby jej dosyć.

- Absolutnie nic - odparła wyniośle. - I zaraz ci to udowodnię. - Wstała z leżaka i położyła się obok Rossa, jednak nie za blisko. - Zresztą i tak ludzie na nas patrzą.

- Czy aby na pewno? - Rozejrzał się dookoła.

Joe szykował rzeczy na poranną wycieczkę, Matt gdzieś zniknął, nawet nie mówiąc nikomu „dobranoc”, zaś David i Belle istnieli tylko dla siebie, całkowicie pochłonięci rozmową. Isabelle jakby zapomniała o żalobie, dosłownie kwitła w oczach.

- Nikt nie zwraca na nas uwagi. Moglibyśmy niepostrzeżenie zniknąć w lesie, gdybyśmy tylko chcieli.

- I co byśmy tam robili? - spytała bez tchu. Zajrzał jej w oczy.

- Cóż, nie minę się z prawdą, jeśli przyznam, że od pierwszej chwili ogromnie mi się podobasz.

Była tak uszczęśliwiona tym wyznaniem, że chyba musiało bić od niej światło.

- Ktoś powinien był mi to uświadomić. Zachowywałeś się tak, jakbyś czuł do mnie awersję.

Splótł palce z jej palcami.

- Nieprawda. Nigdy jej nie czułem.

Tak bardzo pragnął przygarnąć ją do siebie, że niemal to zrobił, zapominając się zupełnie, zapominając, gdzie jest i kim jest. Kiedy tak patrzył w te jej wielkie oczy, po raz pierwszy zaczynał rozumieć swego ojca.

Czuł w swojej szorstkiej, spracowanej dłoni jej delikatną, gładką dłoń. Tak, mężczyzna naprawdę mógł oszaleć na punkcie kobiety.

- Ross?

Puścił jej dłoń, przy czym sprawiło mu pewną ulgę, że jeszcze był w stanie to zrobić.

- Powiedziałaś to takim głosem, jak mała dziewczynka, która boi się ciemności.

- Raczej boję się ciebie. - Nie była w stanie trafnie odczytać sprzecznych sygnałów, jakie jej wysyłał. - Czego ty właściwie chcesz?

- Bóg jeden wie! Może chciałbym na moment przestać się aż tak kontrolować.

Przygarnąć cię, przygnieść do ziemi, całować twoje cudowne usta, rozpiąć ci bluzkę, pieścić twoje nagie piersi, zanurzyć się w tobie...

Wiedział, że tak wielkie pożądanie kobiety może się źle skończyć, dlatego z całych sił bronił się przed Samantą, ale zdołała w jakiś sposób odnaleźć drogę do jego serca i zamieszkać w nim, zresztą najpewniej na zawsze, ponieważ Ross był ogromnie podobny do ojca, który zakochał się raz - i nieodwracalnie.

Ale gdyby to Ross został opuszczony, nie poddałby się tak łatwo jak ojciec, o nie! Miał bardziej wojowniczą naturę, dlatego pojechałby po żonę i przywiózł ją z powrotem do Australii, choćby przyszło mu użyć siły. Przysięga to przysięga. Małżeństwo to nie zabawa, tylko poważne zobowiązanie na całe życie. Do tego nikomu nie wolno stawiać wyżej porywu serca ponad dobro własnych dzieci. Czy matka wiedziała, ile cierpienia im sprawiła? Czy dręczyło ją poczucie winy? Miał nadzieję, że tak, ponieważ zasłużyła na karę.

- Bardzo spochmurniałeś. O czym myślisz?

- O przeszłości.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie, ponieważ nie zdołasz w niczym pomóc. - Podniósł się zdecydowanie i wyciągnął dłoń, żeby pomóc Samancie wstać. - Pora zbierać się do spania.

Kiedy stanęła naprzeciw niego, ogarnęła ją szaleńcza wprost ochota, by zarzucić mu ręce na szyję i przytulić się do jego mocnego torsu. Miała jednak swoją dumę.

- Czy Isabelle wie, że jedziemy jutro z tobą?

- Jeszcze jej tego nie mówiłem, ale pewnie dowiedziała się od Davida. Na pewno wszystko sobie mówią.

- Czy to ci przeszkadza? - spytała, słysząc dziwny ton w jego głosie.

- Może trochę. Ona ciągle opłakuje swojego męża.

- Isabelle przeżyła tragedię, ale żadne łzy nie przywrócą jej męża, a ona jest piękna i młoda, ma przed sobą całe życie. Chcesz, żeby spędziła te wszystkie lata zupełnie sama? W dodatku wiem od niej, że kocha dzieci i bardzo chciałaby je mieć.

- A ty? - spytał z napięciem w głosie.

- Ja też. Nawet wiem, ile. Czwórkę.

- Wszystkie z jednym mężczyzną?

- Oczywiście. Z moim mężem. To chyba naturalne, że kobieta chce mieć jednego męża i tylko jemu rodzić dzieci.

- Wybacz, że ci o tym przypominam, ale twoi rodzice się rozwiedli i w rezultacie masz przyrodnie rodzeństwo.

Westchnęła.

- Wina leży po stronie ojca, to on dopuścił się zdrady. Mama wcale nie chciała się rozwodzić, ale spotkało ją tyle upokorzeń ze strony taty i jego kochanki, że w końcu nie miała wyjścia. Stała się strasznie rozgoryczona. Chyba najchętniej zabiłaby tamtych dwoje.

Znowu zadźwięczały jej w uszach słowa matki: „Ten twój przeklęty ojciec na siłę próbuje odzyskać młodość!”

- Świat jest okrutny - odparł Ross. - Niektórych ran nic nie może uleczyć.

- A może należy być cierpliwym i pozbyć się wszelkiego gniewu, zamiast go dalej żywić. - Spontanicznie położyła dłoń na ramieniu Rossa, a on się nie



odsunął. - Wierzę, że wszystkie nasze rany można uleczyć. David chroni Isabelle przed najbardziej dotkliwym smutkiem. Powinniśmy się z tego cieszyć.

- Cieszysz się, że jutro pojedziesz na wycieczkę sama z Rossem? - spytała Isabelle, gdy położyły się spać i zgasiły światło.

Samanta uniosła się na łokciu.

- Przyznaj się, specjalnie w ostatniej chwili zmieniłaś zdanie i przyłączyłaś się do Davida.

- Owszem, przyznaję, że patrzenie na ciebie i mojego brata sprawiło, że odkryłam w sobie talent swatki.

- Żartujesz, prawda?

- Sammy, przecież widzę, co się dzieje. W dodatku świetnie znam Rossa. Mój braciszek udaje twardego, a tak naprawdę jest bardzo uczuciowy.

- Skoro tak mówisz... Przy mnie zachowuje się zagadkowo. Nie mogę go rozgryźć, dlatego się boję. - Samanta z powrotem opadła na poduszkę. - Wiesz, nie jest łatwo poradzić sobie z faktem, że trafił cię piorun z jasnego nieba.

- Aż tak? - spytała cicho Isabelle.

- Cud, że nie musiano mnie reanimować... Nie wiem, co robić. Ross jest bardzo podejrzliwy w stosunku do mnie.

- Przetrzyj to jakoś. On nie zaufał żadnej kobiecie po tym, jak nasza matka porzuciła tatę dla innego. Do tej pory nie wybaczył jej zdrady. W dodatku boi się, że skończy tak samo jak ojciec, jeśli jakaś kobieta stanie się dla niego zbyt ważna. Dlatego zawsze trzymał się na dystans, chociaż ma ogromne powodzenie. Niektóre narzucają mu się wprost bezwstydnie. Im bardziej będzie mu zależało, tym gwałtowniej będzie się bronił. A przed tobą broni się desperacko...

Samanta zapatrzyła się w księżyc, widoczny przez foliowe okienko w dachu namiotu.

- Równie dobrze za tydzień może o mnie zapomnieć.

- A ty potrafiłabyś zapomnieć o nim?

Samancie aż zrobiło się zimno na myśl o tym, że po tej wyprawie mogłaby już więcej nie zobaczyć Rossa.

- Nigdy!

- No widzisz... - Isabelle się uśmiechnęła.

- A czy tobie odpowiada, że jutro pojedziesz z moim bratem?

- Oczywiście. - Starła się nie zdradzić, jak bardzo potrzebuje towarzystwa Davida. Przy nim znowu poczuła, że żyje. - Co więcej, on też jest bardzo zadowolony, ponieważ postanowił dodać do pejzażu człowieka. Mam być na zdjęciach.

Przez parę chwil panowało milczenie.

- Belle?

- Tak?

- Dziękuję. Jesteś mądra i dobra. Bardzo się cieszę, że cię poznałam.

Gdybyś kiedyś potrzebowała porozmawiać o sobie, możesz na mnie liczyć. W każdej chwili.

Isabelle poczuła, jak łzy zapiekły ją pod powiekami, ponieważ w głosie Samanty brzmiała najszczerza chęć przyjscia jej z pomocą. Podobno zwierzenia przynosiły ulgę, ale ona nie chciała wracać do swojego małżeństwa, przeżywać tamtego bólu na nowo. Nigdy nikomu nic nie powie.

## *ROZDZIAŁ SZÓSTY*

Wciąż obrażony Matt podszedł do Samanty, która właśnie poprawiała długość pasków plecaka.

- Cześć - rzucił, udając nonszalancję. - Jesteś gotowa, jak widzę?

Znała go zbyt dobrze, by wiedzieć, że jego dobry humor jest tylko na pokaz. Matt miał podkrążone oczy, najwyraźniej źle spał.

- Owszem. Jestem pewna, że zrobisz wspaniałe zdjęcia. Już nie mogę się doczekać, by je obejrzeć. - Cóż innego mogła powiedzieć? Może natchnie go entuzjazmem do pracy...

- Jak na razie idzie mi nieźle... Czyj to był pomysł, żebyś jechała z Sunderlandem?

Powściągnęła irytację.

- Mieliliśmy jechać we troje, z Belle, lecz David chce ją mieć na zdjęciach, zamierza wkomponować ją w pejzaż.

- Ona nie zachowuje się jak pogrążona w żałobie wdowa, zauważyłaś? Podobno doprowadziła swojego męża do śmierci. A teraz zajęła się Dave'em.

- Jak śmiesz tak mówić? - Aż zagotowała się ze złości. Oczywiście znała te wszystkie ohydne plotki. - Belle naprawdę cierpi, a David próbuje jej pomóc. Czy tak samo nie pomógł tobie, kiedy parę lat temu miałeś kłopoty? Nie rozumiem, co się z tobą dzieje, Matt. Odkąd wyjechaliśmy z Darwin, zachowujesz się inaczej niż zazwyczaj.

- Ponieważ nic nie idzie po mojej myśli! - wybuchnął. Nienawidził, kiedy rzeczy układały się inaczej, niż tego chciał. - Myślałem, że będziemy więcej czasu spędzać razem.

Najchętniej zakończyłaby tę rozmowę, lecz współczucie nakazywało jej okazać Mattowi trochę serca.

- Przecież cały czas jesteśmy razem, ale trzymasz się na uboczu lub kryjesz w namiocie.

- Nie jesteśmy razem, tylko w grupie. Nigdy nie jesteśmy tylko we dwoje. A dzisiaj spędzisz cały dzień z Sunderlandem. Czemu nie ze mną? Pamiętasz, jak chodziliśmy na mecze czy koncerty? I jak było przyjemnie?

- Tak, ponieważ jesteśmy przyjaciółmi. Już ci mówiłam, nie mogę zaofiarować ci nic więcej.

- Ponieważ zakochałaś się w Sunderlandzie!

- O, wiesz coś, czego ja nie wiem. Ciekawe... A propos, on tu właśnie idzie. Pora się zbierać.

Matt wbił w nią wzrok, na jego twarzy malowała się desperacja.

- Nie oczekuję nic więcej ponad to, co chcesz mi zaofiarować, Sammy. Ja tylko proszę, żebyś któregoś dnia poświęciła mi trochę czasu, ponieważ chciałbym cię sfotografować. Czy naprawdę żądam zbyt wiele? - spytał z udreką.

- Nie, oczywiście, że nie - zapewniła, starając się go uspokoić.

- Świetnie! - W triumfalnym geście uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Dalej pójdziemy na piechotę - oznajmił Ross, gasząc silnik. - Gotowa?

- Tak jest, sierżancie! Wskaż tylko drogę.

- Widzisz to małe wzniesienie?

- O rany, trudno je przeoczyć. - Popatrzyła na imponującą stromą grań ciągnącą się wzdłuż równiny. - Musi być jakieś trzydzieści kilometrów stąd.

- Masz kiepskie oko. Załedwie osiem. Czyli kaszka z mleczkiem.

Zerknęła na niego z ukosa i ujrzała rozbawiony wzrok.

- No to idziemy! - Wyskoczyła z dzipa, zarzuciła plecak i mocno zaciągnęła paski.

- Ostrzegam, to będzie najłatwiejszy kawałek drogi.

- Cóż, pora, żebym wreszcie pokazała, co potrafię. Miał wielką ochotę chwycić ją w ramiona i zażądać, żeby pokazała mu to natychmiast.

- Chętnie popatrzę - wycedził.

- Nie masz najlepszego zdania o kobietach, co? - Dziarskim krokiem ruszyła przed siebie.

- Nie wątpię w twoją siłę, wierz mi. Ale nie mówię o sile fizycznej...  
Howarth znowu ci się naprzykrzał?

- Czy nie wyciągasz zbyt pochopnych wniosków?

- Nie. Musisz mu powiedzieć, że nie ma u ciebie szans. Jest w tobie zakochany do szaleństwa.

- Zdarzają się gorsze rzeczy w życiu - odparła z irytacją. Mógł się wypchać ze swoimi radami.

- Spróbuj powiedzieć to Mattowi. Przecież właśnie przytrafiło mu się to, co najgorsze. Moim zdaniem jest na skraju załamania nerwowego.

- Chyba przesadzasz.

- Nie, wszystkie oznaki o tym świadczą.

- Usłyszał ode mnie, że mogę mu zaofiarować tylko przyjaźń.

- To i tak za dużo, bo daje nadzieję. Zatrzymała się gwałtownie.

- To co mam mu powiedzieć? Że mam z tobą romans? Coś błysnęło w oczach Rossa.

- A nie masz?

- No wiesz! - wybuchnęła. - Ależ ty jesteś bezczelny!

- Nie ekscytuj się tak, oszczędzaj siły, długa droga przed nami.

Spojrzała na rzadko zalesioną przestrzeń, dzielącą ich od grani.

- Nie przesadzaj, toż to spacerek przez ładny las.

- Jeśli sądzisz, że wybraliśmy się na przechadzkę po milutkim parku, to się mylisz. Jesteśmy w dzikiej głuszy. Nawet David nie odważył się penetrować tych terenów bez przewodnika.

- Nie powiesz mi chyba, że zabłądziłabym, idąc do tej grani! Prosto jak strzełił, mogłabym iść z zamkniętymi oczami i trafiłabym w nią nosem. I udowodnię ci to.

- Tak? W takim razie posiedzę tu sobie z pół godzinki i dam ci fory. -  
Usadowił się wygodnie przy wielkim głazie i spytał uprzejmie: - Dać ci broń?

Zadrżała mimo woli.

- Po co? Żebym wzięła cię na cel? Nawet nie wiedziałabym, jak ją trzymać. Nie, nie chcę broni. Jeśli nie ma tu krokodyli, nic mi się nie stanie, będę na siebie uważać.

Wyciągnął przed siebie nogi, nasunął kapelusz na czoło, jakby zamierzał uciąć sobie drzemkę.

- No to w porządku. Gdybyś jednak miała jakieś kłopoty, wrzeszcz z całej siły, a zaraz przybiegnę.

- Wolałabym, żebyś przyjechał. I to na pełnym gazie.

- Takich cudów nie ma. - Zerknął spod ronda kapelusza. - Wyglądasz jak rasowa podróżniczka, przyznaję.

Miała na sobie dzinsy, zapinaną bawełnianą koszulę, solidne traperki oraz słomkowy kapelusz z cienkim szalem, którym mogła osłonić twarz i szyję przed moskitami.

- No to cześć - powiedziała. - Do zobaczenia za jakieś dwie godziny.

Zamiast dziarsko maszerować przez las, szła spacerowym krokiem, podziwiając zadziwiająco bogatą florę. Wiedziała od Joego, że na terenie parku Kakadu rosną gatunki eukaliptusów, które nie występują nigdzie indziej. Czasami przystawała, by obejrzeć coś szczególnie ładnego, ale niczego nie dotykała - ani kwiatów, ani liści, ani kolorowych jagód - ponieważ nie wiedziała, co jest trujące, a co nie.

Nie napotkała żadnych ssaków, może spały za dnia, chociaż w cieniu drzew upał nie dawał się aż tak we znaki. Za to ptaków widziała sporo, między innymi bajecznie kolorowego zimorodka, który trzymał w dziobie żabę. Widać niedaleko znajdowała się woda. Samanta żałowała poniewczasie, że uniosła się honorem i ruszyła samopas. Stanowczo wolałaby iść przez te lasy razem z

Rossem, nie dlatego, by się bała, gdyż nic złego się nie działo, lecz dlatego, że z nim byłoby przyjemniej.

Cały czas jednak wyczuwała jego obecność. Błyskawicznie odwracała się, by przyłapać go na tym, że ją śledzi, lecz bez rezultatu. Niemniej dałaby głowę, że jest tu gdzieś w pobliżu i czuwa nad nią, dzięki czemu czuła się bezpiecznie.

W pewnym momencie drogę zagroziło jej potężne zwalone drzewo, porośnięte mchem i grzybami. Musiała je obejść dookoła, jednak cały czas sprawdzała pomiędzy wierzchołkami drzew, w którym miejscu znajduje się charakterystyczny fragment grani, płaski jak stół, gdyż stanowił jej punkt orientacyjny.

Naraz kątem oka zobaczyła jakiś cień wysuwający się spod drzew i na moment zamarła ze zgrozy.

- Sio! Wynocha stąd! - przykazała ostrym tonem i wykonała gwałtowny ruch ręką.

Liczący dobrych dwa i pół metra waran zignorował rozkaz, nadal trwając w groźnej pozie. Samanta popatrzyła na pazury wbite w ziemię, na mocny ogon, którym ta potężna jaszczurka potrafiła pogruchotać kości. Pamiętała, że warany potrafią szybko biegać na krótkich dystansach i są naprawdę niebezpieczne, gdy czują się zagrożone.

Chciała zawołać o pomoc, ale zaschło jej w gardle. Do licha, gdzie ten Ross się podział, kiedy go potrzebowała? Z jej gardła wydobył się dziwny skrzek.

- Sio!

Tylko marnowała czas, lepiej zrobi, uciekając. I zrobiła to, zresztą ułamek sekundy przed tym, gdy waran ruszył do ataku. Dopadła najbliższego drzewa, chwyciła za gałąź i podciągnęła się. Jej serce biło jak szalone. Modliła się, by gałąź ją utrzymała. Próbowwała sobie przypomnieć, czy te potężne jaszczurki chodzą po drzewach.

Naraz rozległy się dwa strzały, oba wycelowane w zwałone drzewo. Waran, który stał na tylnych łapach i syczał z nadętym gardłem, przyjął ostrzeżenie do wiadomości i umknął.

- Możesz już zejść! - zawołał Ross. - Nasz przyjaciel sobie poszedł.

Jak śmiał w takiej sytuacji stroić sobie żarty? Zaczęła ogarniać ją furia.

- Puść gałąź i skacz, ja cię złapię. - Wyciągnął rękę.

- Akurat. - Zahuściła się na gałęzi i dosłownie skoczyła na Rossa, jakby go atakowała, lecz rzeczywiście ją złapał i ze śmiechem zaczął kręcić się z nią w kółko.

- Przestań! - wrzasnęła, rzucając się i kopiąc, aż sprawiła, że runęli na ziemię. Rozwścieczona, w mig znalazła się na Rossie, usiadła na nim okrakiem i zaczęła na oślep okładać go pięściami. - Ty wstrętny, okropny, bezczelny sukinsynu! Wiedziałeś, że mogę się natknąć na warana! Wiedziałeś!

- Dobra, przepraszam. - Starał się złapać ją za rękę.

- Przeprosiny nie wystarczą! Od dawna chciałam to zrobić, ty draniu! Cały czas za mną szedłeś, nie widziałam cię, ale czułam, że gdzieś tam się czaisz!

Wreszcie zdołał złapać ją za nadgarstki.

- Daję ci punkty za to, że pomyślałaś o ucieczce na drzewo. No i dokonałaś tego w rekordowym tempie. Wspaniała rejterada!

- Rossie Sunderlandzie, nienawidzę cię!

- Tak? Zaraz się przekonamy.

Wyraz rozbawienia znikł z jego twarzy. Ross błyskawicznie zmienił pozycję i teraz to on znajdował się na wierzchu, przygniatając Samantę do ziemi.

- Nie waż się mnie tknąć - ostrzegła.

Drżała. Kapelusz spadł jej z głowy jeszcze podczas ucieczki przed waranem, jeden z warkoczy rozplótł się zupełnie. Gdy Ross wreszcie zrozumiał,



jak bardzo jest zdenerwowana, natychmiast wziął się w garść. Żadnego dawania upustu swoim pragnieniom. Nie w takim momencie.

- Warknęłaś jak lwica - powiedział już bez kpiny.

- To było straszne! Ten potwór miał najmarniej ze trzy metry długości.

- Góra dwa i pół. Zazwyczaj są niegroźne dla ludzi, o ile nie poczują się zaatakowane. Może to była samica, która gdzieś niedaleko złożyła jaja.

Samanto, naprawdę bardzo mi przykro. Pomogę ci wstać.

- Wstanę sama, i to wtedy, kiedy będę chciała - odcięła się, jednocześnie patrząc na jego usta. Od pierwszej chwili marzyła, by ten skończony drań kiedyś ją pocałował.

- Tak jest, proszę pani - przytaknął służbiście, jednocześnie prawie umierając z pożądania. Bluzka jej się rozpięła i widział błękitny staniczek, niemal czuł w dłoni ciężar jej piersi.

- To przez ciebie się tak wystraszyłam. Nie miałeś prawa mi tego zrobić.

- Moje ty biedactwo - rzekł z niespodziewaną czułością.

Usłyszała ją, ujrzała także pragnienie w jego oczach, co rozbroiło ją zupełnie. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Hej, nie płacz - poprosił, gdyż jego zdolność panowania nad sobą miała swoje granice.

Nie mogli poddać się tej sile, która pchała ich ku sobie, ponieważ źle by się to dla nich skończyło. Ta kobieta - ona jedna jedyna - odnalazła drogę do jego serca. Boże, jak jej pragnął!

- Nie płaczę. Jest gorąco i oczy mi się spociły. Pomóż mi wstać - zażądała, ponieważ przestraszyła się swej bezradności. Bezpieczniej będzie działać.

Wstał natychmiast, chwycił Samantę za rękę, podniósł ją.

- Dalej pójdziemy razem.

- Dobry pomysł. - Otrzepała się z kurzu, zaplotła warkocz i rozejrzała się za kapeluszem.

Ross podniósł go z ziemi i podał Samancie.

- Daj mi swój plecak.

- Nie trzeba, potrafię dotrzymać ci kroku.

- Daj mi plecak, powiedziałem! Posłuchała, wcale nie okazując wdzięczności.

- Rozkaz, sierżancie.

- Masz coś słodkiego? - Zajrzał do jej plecaka.

- A co, zgłodniałeś?

Wyjął torebkę z rodzynekami i mieszanką orzeszków.

- Nie, za to martwię się o ciebie.

- Lepiej nie bądź dla mnie taki miły, bo jeszcze w głowie mi się od tego przewróci.

- Dobrze, będę cię ignorował. - Wbrew tym słowom posłał jej zmysłowe spojrzenie. - Chodźmy już do tego wodospadu. Muszę się ochłodzić.

## ***ROZDZIAŁ SIÓDMY***

Najpierw pojawiły się motyle, całe kolorowe obłoki motyli.

Samanta starała się nie deptać po kwitnących wszędzie orchideach, lecz mimo najszczerszych wysiłków nie bardzo jej się to udawało, gdyż roślinność była szalenie bujna. Ross nagle zatrzymał się i chwycił ją za ramię.

- Słyszysz?

- Co? - Przez moment stała nieruchomo, nie wiedząc, co usłyszy, a potem uśmiechnęła się szeroko i podniosła na Rossa rozpromieniony wzrok. -

Wodospad! Jak się nazywa?

- Ngaru. Niedaleko jest zatoka Ngaru, stąd tyle ptaków. Prawie jesteśmy na miejscu.

- Nie mogę się doczekać tego pływania przy wodospadzie. To będzie jak w raju!

Wycieczka podobała jej się ogromnie, choć była już zmęczona. Włosy miała wilgotne od potu, koszula przylepiła się do pleców. Dobrze, że na wszelki wypadek włożyła do plecaka T-shirt na zmianę. Za to po Rossie w ogóle nie było widać zmęczenia.

Przyjrzał jej się uważnie.

- To jednak trochę za długa wycieczka jak dla ciebie.

- Wcale nie. Bardzo mi się podoba. Troszkę się zziąjałam po tej małej wspinaczce, to wszystko.

Ściągnął brwi, zły na siebie.

- To moja wina. Nie powinienem był ciągnąć cię tak daleko.

Wyprostowała się dziarsko.

- Hej, nie przesadzaj. Mogę chyba sobie sapnąć od czasu do czasu, co?

- Zaraz dojdziemy, to już blisko. - Ruszył przed siebie i przytrzymał zwieszającą się nisko gałąź, by Samanta mogła pod nią przejść.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że potrafisz robić tyle hałasu o nic - stwierdziła, uświadamiając sobie, że on naprawdę troszczy się o nią.

- Wszystko przez ciebie - mruknął niezbyt uprzejmie. Ponieważ zaczynała rozumieć jego sposób bycia, przyjaźnie wzięła go pod rękę.

- Ty rzeczywiście musisz mnie lubić.

Na jego wargach pojawił się leciutki uśmiech.

- Jak to mówią, mam do ciebie słabość.

- Cóż, w końcu mamy coś wspólnego.

- Niby co?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Jak to co? Oboje uwielbiamy pływać.

Odgłos wodospadu stawał się coraz głośniejszy, wreszcie wyszli na piaszczystą plażę. Samanta ujrzała czystą, zielonkawą jak opal wodę.

- Jak cudownie! Jesteśmy w rajku! - Zdjęła kapelusz i zaczęła się wachlować.

- Nie widzę tylko żadnej jabłoni. - Jabłko i tak niepotrzebne, pokusa stoi przede mną, pomyślał.

- O ile wiem, biblijne jabłko było raczej figą. Och, popatrz, dzikie śliwki! Tu jest naprawdę cudownie, w życiu nie widziałam miejsca, które tchnęłoby takim spokojem.

- W okolicy jest sporo podobnych wodospadów. Niektóre można zobaczyć tylko z helikoptera.

- Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś. Sama nigdy bym tu nie trafiła.

Powiodła zachwyconym spojrzeniem po mieniących się odcieniami ochry skałach, z których spadała kaskada wody prosto do otoczonego palmami jeziora.

- To co? Chcesz popływać? Musisz się przebrać?

- Nie, mam kostium na sobie.

Położył plecaki na piasku, a minutę później Samanta mogła podziwiać kolejny zachwycający widok - wspaniałe męskie ciało, które osłaniały jedynie kąpielówki. Przebiegł ją gorący dreszcz, zarumieniła się. Ross zauważył to i pytająco uniósł brew, na co Samanta zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

- Nie powiem ci. I tak jesteś wystarczająco próżny.

- A to dopiero!

- Przecież musisz wiedzieć, jak wyglądasz.

- Sammy, mężczyźni nie spędzają zbyt wiele czasu przed lustrem.

- Zdziwiłbyś się. Znam jednego, który nie potrafi przejść obok lustra, żeby nie sprawdzić, jak wygląda.

- Żenada.

- Odwróć się, chcę się rozebrać - zażądała, nagle dziwnie onieśmielona.

- Już widziałem cię w bikini. Zakrywało tylko tyle, ile konieczne. No dobra, idę, ale nie każ mi długo czekać.

Powoli ruszył przez plażę, zaś Samanta zaczęła ściągać dzinsy, jednocześnie myśląc o tym, że skoro będzie tak blisko Rossa przez cały dzień, coś wreszcie musi się wydarzyć.

Weszli do zaskakująco zimnej wody, która już w odległości paru kroków od brzegu robiła się głęboka.

- Tego mi było trzeba! - Z ulgą ochlapała spoconą twarz. - Płynę do wodospadu, a ty?

- Ja też.

Zanurkowali jednocześnie. Jak cudownie było płynąć, rozgarniając krystaliczną wodę silnymi ruchami ramion po kilku godzinach marszu w upale! Gdy wpłynęli pod wodospad, podekscytowana Samanta wyciągnęła dłonie, chwytając spadające strumienie. Miała wrażenie, że energia wodospadu przelewa się prosto w jej ciało.

- Tu jest bosko! - wykrzyknęła.

- Prawda? - ucieszył się Ross, równie uradowany jak ona. Dodatkową przyjemność sprawiał mu fakt, że miał najlepsze towarzystwo, jakie mógł sobie wymarzyć.

Prawie przez godzinę pływali, nurkowali, dokazywali jak delfiny, odpoczywali, leżąc na wodzie na plecach, wpatrując się w czyste niebieskie niebo. Samanta czuła, jak całe jej zmęczenie znika bez śladu, jak napełnia ją poczucie całkowitej harmonii z otoczeniem. Ze szczęścia zaczęła śpiewać starą balladę, której nauczyła się w szkolnym chórze.

Rossowi nigdy słuchanie czyjegoś śpiewu nie sprawiło tak wielkiej przyjemności, zresztą to było coś więcej niż przyjemność.

Czysty głos Samanty wydawał się przenikać do samej głębi jego duszy. Odkrył ze zdziwieniem, że jego zadawnione smutki i bóle znikają jak cienie, na które padło światło słońca. Odżywał. Kiedy Samanta umilkła, nagroził ją szczerymi brawami.

Po chwili zawrócili do brzegu, bo poczuli się wściekle głodni. Samanta rozplotła mokre włosy, rozczesala je palcami, odrzuciła do tyłu i usadowiła się na rozgrzanym, złocistym piasku.

- Hej, miałaś już dzisiaj dość słońca - ostrzegł Ross.

- Wysmarowałam się kremem z filtrem.

- Filtr nie wystarczy, idziemy do cienia. Bez dyskusji.

- Rozkaz, sierżancie.

Pod drzewami położyli plecaki na piasku. Samanta zdjęła z kapelusza szeroki szyfonowy szal i zawiązała go sobie wokół bioder, robiąc z niego fikuśną spódniczkę. Ross włożył dżinsy.

- Jak się czujesz? Odpoczęłaś?

- Czuję się cudownie - rzekła zmienionym głosem, jednocześnie zachwycona i trochę zdenerwowana, gdyż bardziej sami już być nie mogli. I w bardziej sprzyjającym miejscu... - Co mamy do jedzenia?

- Jabłka, ananasy, kanapki, herbatniki, czekoladę i coca-cole - wyliczał dziwnie ostrym tonem, gdyż również znajdował się na skraju wytrzymałości. - Wszystko w folii termicznej, więc będzie chłodne jak z lodówki.

- Jednym słowem uczta.

Wiedziała, że z każdą chwilą zbliża się nieuniknione. Nie zamierzała się wycofywać ani bronić. Spuściła wzrok, by nie zdradzić, jak bardzo jest podekscytowana. Pasma schnących włosów opadło jej na twarz. Ross pożerał rozgorączkowanym wzrokiem śliczne rysy, delikatną skórę, zmysłowe usta i jedynie siłą długoletniego przyzwyczajenia zdołał zachować panowanie nad sobą. Rozpakował kanapki i podsunął je Samancie wraz z soczystym czerwonym jabłkiem.

- Chyba zacznę od jabłka...

Na moment zerknęła na Rossa, przy czym nie miała pojęcia, że tym jednym spojrzeniem pozbawia go resztek samokontroli. Czuł, jak wszystko w nim drży. Pragnął jej do szaleństwa.

Wbiła zęby w owoc.

- Przepyszne!

Sok pociekł jej po brodzie, otarła go dłonią. W tym momencie Ross przepadł. Jednym szybkim ruchem znalazł się przy niej, otoczył ją ramieniem.

- Wiedziałaś, co się stanie. Ewa z jabłkiem.

Serce w niej zamarło, gdy zobaczyła wyraz jego oczu. Marzyła o tym od dawna, a teraz wreszcie to działa się naprawdę.

- Boże, spójrz tylko na siebie - jęknął z zachwytem, patrząc na jej włosy, usiane cętkami światła padającego przez liście palm. - Wyglądasz jak anioł.

- Jestem kobietą, Ross. Nie chcę być aniołem. Przygarnął ją do siebie. Wtuliła twarz w jego szyję, napawając się zapachem rozgrzanej skóry.

- Spójrz na mnie - zażądał, unosząc dłonią jej brodę, desperacko szukając jej ust.

Serce waliło mu jak młot, z całych sił pragnął, by czuła to samo co on. Całował ją długo, nie miał pojęcia, jak długo, lecz któżby liczył? Przyjemność była niewyobrażalna, ale wreszcie przestała mu wystarczać. Może nie tylko jemu, sądząc po tym, jak reagowała Samanta. Wydawali się do siebie tak pasować, jakby byli jednym ciałem. A może nawet jedną duszą.

Uniósł głowę i zajrzał jej głęboko w oczy.

- Jak daleko mogę się posunąć, Sammy? Na ile mi pozwolisz? - spytał ze skrywaną desperacją.

Chciewie gładził jej ramiona, nie wiedząc, czy zdołałby odzyskać pełną kontrolę nad sobą, gdyby poprosiła, by nie posuwał się dalej. Chyba musiałby wrócić do zimnej wody.

Drżała. Przez chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa. Nie była dziewicą, w wieku siedemnastu lat przeżyła swój pierwszy raz z miłym chłopcem, którego znała od dzieciństwa. Doświadczenie okazało się rozczarowujące, chociaż tylko dla niej, bo chłopak był wniebowzięty.

- A jeśli po naszej wyprawie już nigdy więcej cię nie zobaczę?

- Skąd wiesz, czy pozwolę ci odejść? - Zacisnął dłonie na jej ramionach. -  
Może zamknę cię u siebie w domu i nie dam ci wrócić do miasta?

- Muszę wiedzieć, czego ode mnie oczekujesz, Ross. Co jest dla ciebie najważniejsze.

- Zaufanie - rzekł z mocą. - Możemy nauczyć się go wspólnie.

Nie potrafiąc już dłużej wytrzymać, sięgnął do jej staniczka. Zapięcie puściło i ujrzał nieduże krągłe piersi. Wyprężone ciemnoczerwone sutki odcinały się wyraźnie od kremowej skóry. Nachylił głowę, otoczył wargami jeden z nich, a serce waliło mu tak mocno, jakby zupełnie oszalało.

Samanta zagryzła dolną wargę niemal do krwi. Miała ochotę szlochać z rozkoszy.

- Ostrożnie, Ross - poprosiła bezradnie.

- Nie mogę całować twoich piersi? - Czuł się jak człowiek, który umiera z głodu. Już mu nie wystarczało, co otrzymał, pragnął nasycić się nią całą, poznać jej sekretne miejsca.

- Jak mogłabym ci odmówić? - Poddawała się bezradnie jego pieścizotom, zaciskając powieki, żeby nic jej nie rozpraszało. - Nie widzisz, że potrafię?

Z jękiem uniósł głowę.

- Nie mogę wykorzystać bezbronnej kobiety. Za nic bym cię nie skrzywdził, Sammy. Mówiłem o zaufaniu!

Otworzyła oczy i ujrzała, że patrzył na nią z dziwnie zdesperowanym wyrazem twarzy.

- Ufam ci. Ale wiem, że mnie nie kochasz.

Nie? W takim razie czemu właśnie przeżywał najpiękniejsze chwile swego życia?

- Jak mam cię kochać, skoro mi nie pozwalasz?

- Ja? Przecież cię Kocham! - wyrwało jej się, nim zdążyła pomyśleć, że może przyjdzie jej pożałować tego wyznania.



Spojrzał na nią surowo.

- Wcale tak nie myślisz - uciał szorstko. Jej serce ścisnęło się boleśnie.

- Czy przez to, co powiedziałam, czujesz się schwyty w pułapkę?

- Nie zdajesz sobie sprawy z tego, o czym mówisz. Jeśli mnie naprawdę pokochasz, nie pozwolę ci odejść, nie rozumiesz? Nigdy.

- Boisz się, że mogłabym cię zostawić? - spytała z niedowierzaniem.

- Czemu nie? - spytał ponuro. - Dla ciebie to może być tylko przygoda.

Przez jakiś czas przyjemna, ale co potem? Zdołałabyś dzielić moje życie? Jak długo?

- Nie da się wszystkiego przewidzieć. Ross, życie jest pełne ryzyka.

- Życie tak, ale małżeństwo nie! Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Małżeństwo jest na całe życie i nie ma żadnej możliwości, żeby było inaczej.

- Czyli mówimy o romansie, tak?

- A więc to, co teraz robimy, tak mało dla ciebie znaczy? - spytał gniewnie. - Ja dla ciebie mógłbym pójść do piekła!

Och, co to zresztą ma za znaczenie! - Gwałtownie przygarnął ją do siebie, poczuł jej miękkie piersi na swoim torsie i pomyślał, że dla takiego doznania mężczyzna zrobiłby absolutnie wszystko.

- Nie gniewaj się na mnie - poprosiła.

- Nie umiałbym. - Z napięciem zajrzał jej w oczy. - Czy to bezpieczny dzień, czy możesz zająć w ciążę?

Z radością urodziłabym twoje dziecko, pomyślała. I to nie jedno, ale kilkoro. I chciałabym, żeby wszystkie miały twoje oczy, najpiękniejsze na świecie.

- Bezpieczny - odparła, rumieniąc się. Oczywiście nie mogła mieć stuprocentowej pewności, lecz pożądanie, które ją ogarnęło, było zbyt silne, by mu się oprzeć. Spojrzała Rossowi prosto w oczy. - Kocham cię. Nie chcę żadnego innego mężczyzny.

Radość zalała mu serce.

- Powiedz to jeszcze raz - zażądał, tuląc Samantę do siebie, a potem położył ją na kocu i przesunął zachwyconym wzrokiem po jej niemal nagim ciele.

- A nie widać? - spytała.

Zaczął ją całować, poczynając od ust, potem przesuwał się niżej, coraz niżej, słuchając cichych jęków rozkoszy, aż wreszcie...

Po wielu godzinach spędzonych na poszukiwaniu odpowiednich miejsc do zdjęć i po kilku godzinach fotografowania natknęli się na malownicze niewysokie skały, otoczone morzem wysokich ciemnozłotych traw. Nieopodal widniały soczyście zielone drzewa, tworzące przepiękną oazę.

- Możemy tu odpocząć - zaproponował Joe, który siedział za kierownicą.

Prowadzili z Davidem na zmianę. Dobrze się czuli w swoim towarzystwie, zaczęli rozumieć się w pół słowa, za to siedzący z tyłu Matt Howarth budził żywy niepokój Joego. Z tym facetem stanowczo było coś nie tak, stary Aborygen wyczuwał to na milę. Oczywiście poszło o panienkę Sammy, którą ten dziwny człowiek chciał dla siebie. Tyle że trzeba było mieć naprawdę dużo do zaoferowania, żeby zdobyć taką kobietę, czego on wyraźnie nie rozumiał.

- Pewnie wszyscy mamy ochotę na herbatę - dodał David. Joe zatrzymał dżipa w cieniu skały i zgasił silnik.

- Zaraz zagotuję wodę.

- Świetnie. Jestem ci bardzo wdzięczny, że tak o nas dbasz. - David wyskoczył z dżipa i pomógł wsiąść Isabelle.

- Jak się czujesz?

- Dobrze, i mam nadzieję, że tak już zostanie - odparła, nie podnosząc na niego wzroku, by się nie zdradzić.

Nie spodziewała się ani przez moment, że po śmierci Blaira spotka kogoś - i to kogoś takiego! Jego wygląd, głos, śmiech, łagodność, ciepło... Pewnie go sobie wyśniła. Kiedy prowadził, siedziała obok niego, rozdarta pomiędzy

radością a rozpaczą. Jak mogła czuć to, co czuła? Jak mogła zakochać się bez pamięci w zupełnie obcym człowieku? Tylko jak uważać go za obcego, skoro wydawał się wiedzieć o niej rzeczy, do których nie chciała się przyznać sama przed sobą?

David od razu dostrzegł, że Isabelle stała się dziwnie melancholijna i musiał zdusić w sobie pragnienie, by przytulić ją do siebie i pocieszyć. Zawistnicy mylili się głęboko, ona naprawdę przeżywała żalobę, dlatego Dave nie miał prawa czynić żadnych zbyt intymnych gestów. To był decydujący okres w jej życiu, musiała sama poradzić sobie z wszystkimi emocjami i pragnieniami, dogadać się z przeszłością, zaplanować, przygotować się do przyszłości.

Pomiędzy skałami odkryli małe oczka wodne i usiedli nad jednym z nich w cieniu wszechobecnych pandanów, które zanurzyły korzenie w wodę. Joe zajął się robieniem herbaty, podczas gdy Matt krążył nieopodal, depcząc ciężkimi traperkami białe i różowe kwiatki. Isabelle coraz częściej dostrzegała w nim podobieństwo do Blaira, wyczuwała ogromne napięcie i udrękę, paniczny lęk przed porażką i odstawieniem na boczny tor. To był problem Blaira, który poza tym cierpiał z powodu maniakalnej zazdrości, znajdującej ujście w nieposkromionych wybuchach agresji. Isabelle miała nadzieję, że z powodu zazdrości Matta o Rossa nie dojdzie do żadnej nieprzyjemnej sceny, która zakłóciłaby ich wyprawę.

- Jak tu cudownie - stwierdził David. - Mógłbym tutaj spędzić cały rok i nadal miałbym co fotografować. Dzięki, byłaś taka cierpliwa. Wiem, że niełatwo pozować w takim upale.

- Jestem przyzwyczajona do tego klimatu - odparła z uśmiechem. - Od urodzenia.

- Nie było ci ciężko przywyknąć do Sydney?

- Na początku nawet podobało mi się, że co wieczór gdzieś wychodzimy.

- Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że Blair chwalił się nią, pokazywał jak trofeum. - Jednak szybko zaczęło mnie to nużyć. Bezsensowne spotkania,

nieszczery ludzie... Do tego zniechęciłam do siebie teściową i całą rodzinę Hartmannów. Evelyn wybrała dla swojego syna inną kandydatkę na żonę.

- Taką, którą mogłaby łatwo kontrolować.

- Mówisz, jakbyś znał Evelyn.

- Nigdy jej nie spotkałem, słyszałem jednak o niej.

- O mnie też musiałeś słyszeć różne rzeczy... A mimo to jesteś dla mnie miły.

- Ponieważ potrafię odróżnić oszczerstwo od prawdy. Belle, zrobiłbym wszystko, żeby ci pomóc. Kiedy cię poznałem, byłaś pogrążona w bólu, ale teraz wydajesz się silniejsza, radzisz sobie.

- Też to czuję. Przedtem byłam jak... jakby mnie ktoś zamroził. Ale zaczęłam tajać. Pewnie dzięki temu, że wreszcie wyszłam z domu. - Przede wszystkim dzięki tobie, dodała w myślach. Przy Davidzie nie czuła się wdową po Hartmannie, bitą, nieszczęśliwą kobietą. Znowu stała się sobą, Isabelle Sunderland. - Te obmowy naprawę mnie martwią. Bardzo zależy mi na tym, żebyś miał o mnie dobre zdanie, Davidzie.

- Słucham? - spytał ze zdumieniem, ujął ją pod brodę i odwrócił jej twarz ku sobie. - Przecież wiesz, co o tobie myślę. Jesteś mądra, szlachetna, delikatna... I wiem, że nie dbam o plotki.

W jej oczach zalśniły łzy.

- Moje małżeństwo nie było szczęśliwe. Przynajmniej w tym plotki nie kłamią.

Z ociąganiem cofnął dłoń.

- Winisz się za to?

Ile mogła mu zdradzić? Przecież to taki wstyd! Czy poczułby do niej niechęć, gdyby wiedział?

- W jakiś sposób tak. Nie dziwię się, że matka Blaira mnie nienawidzi.

- Nie odpowiadasz za śmierć swojego męża!

- Wiem. To znaczy niby wiem, choć gdzieś poza rozumem, w sercu, mam poczucie winy. Blair okazał się zupełnie innym człowiekiem, niż ten, którego poślubiłam. A raczej innym niż ten, za którego go uważałam. On z kolei szalał nie za mną, tylko za kimś, kto nie istniał. Za jakimś wyobrażeniem... W naszym małżeństwie było wiele cierpienia, zwłaszcza pod koniec.

- Mówisz, jakbyś znalazła się w pułapce. - Patrzył na nią uważnie, starając się przeniknąć wszystkie bariery i mury, które wzniosła między sobą a innymi, by się ochronić.

- Próbowałam się z niej wydostać.

Usłyszał w głosie Isabelle determinację, która go zaskoczyła. Przez moment zastanawiał się, czy ludzie nie mieli trochę racji, mówiąc o kochającym mężu i oziębłej żonie. Przecież odczytał w jej zachowaniu jasny przekaz: „Nie dotykaj mnie”.

- Powiedziałaś o tym ojcu albo bratu?

- Nie. Byłam na to za dumna. Wiem, to grzech.

Tak, oskarżano ją o dumę i próżność, lecz jak dotąd nie dostrzegł w niej tych cech.

- Zszokowałam cię - rzekła ze smutkiem, gdy nie odpowiadał.

- Nie - odparł, gdyż nie czuł szoku, lecz coraz silniejsze pragnienie, by poznać całą prawdę, by zadać pytania, do których nie miał prawa. -

Nieszczęśliwe małżeństwa zdarzają się aż nadto często.

- Wątpisz, że próbowałam je naprawić?

- Skądże, lecz mimo to rozwinęłaś w sobie poczucie winy.

- Jak to możliwe, że z tobą o tym rozmawiam? - spytała drżącym głosem.

- Myślę, że nauczyłaś się mi ufać.

- W bardzo krótkim czasie - szepnęła.

- Czyżbyś zdradzała mi rzeczy, o których nikt nie wie?

- Mówisz tak, jakbym miała jakieś straszne sekrety do ukrycia.

- A masz? - Bolało go, że nie zna przyczyn jej smutku.

- Są sprawy, które chcemy zabrać z sobą do grobu.

- Isabelle, czyżbyś doświadczyła czegoś naprawdę złego? Nie tylko niedobre charaktery, ale... Mam nadzieję, że tak nie jest.

Było gorzej, niż mógł przypuszczać, lecz nie zamierzała mu tego mówić. Chciała zapomnieć czy też w jakiś sposób zaprzeczyć temu, co się stało.

- Muszę sobie sama poradzić z przeszłością i zacząć nowe życie. Już zaczęłam. Ten wyjazd czyni prawdziwe cuda. Cieszę się, że dołączyłam do was. No i będę na twoich zdjęciach, to prawdziwy zaszczyt dla mnie. - Uśmiechnęła się. - W tym waszym okropnym żargonie nazwałeś to „małym ludzkim elementem”, ale chodzi o coś więcej, prawda?

- Ach, czyli zauważyłaś! Cóż, jesteś piękna i bardzo fotogeniczna. Dziękuję, że ubrałaś się, jak prosiłem, to daje wspaniały efekt. - Ujął rąbek jej długiej lekkiej sukienki i uniósł go nieco, by pokazać, jak słońce prześwieca przez materiał. Przeszyło go pożądanie. Zdławił je z największym trudem. - Ale pewnie musiało być ci niewygodnie w tym chodzić - dodał pozornie lekkim tonem.

Isabelle odgadła, że jego spokój był wymuszony. Czy to możliwe, by David czuł to samo, co ona?

- Sukienka mi nie przeszkadzała, ale sandały są trochę niewygodne na takie wycieczki. Planujesz dzisiaj jeszcze jakieś zdjęcia?

- Tak, kilka ujęć zachodu słońca, tu jest niewiarygodne światło. A w nocy postaram się sfotografować błyskawice. Już nie mogę się doczekać.

Uśmiechnęła się, słysząc entuzjazm w jego głosie.

- Bardzo kochasz swoją pracę.

- Miłość to poezja zmysłów. - Patrzył na nią przez chwilę, po czym wziął ją za rękę i poszli napić się przygotowanej przez Joego herbaty.

Może któregoś dnia Isabelle zaufa mu na tyle, że zdradzi, co tak bardzo ją dreczy, a wtedy - dopiero wtedy - David będzie mógł pójść za głosem serca.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

Płynęli wynajętą łodzią z biegiem rzeki Alligator, chociaż w rzeczywistości zamieszkiwały ją krokodyle. Kiedy rano dotarli nad rzekę, Samanta po raz pierwszy w swym życiu ujrzała słynne gady, które przetrwały dinozaury. Wygrzewały się na brzegu, a na widok potężnych cielsk odruchowo cofnęła się o krok, zaś idący za nią Ross przytrzymał ją za ramiona.

- Spokojnie, jesteśmy całkiem bezpieczni.

Gdy już znaleźli się na niedużej barce, stanęli na rufie, dzięki czemu Samanta mogła zaobserwować ze zgrozą, jak jeden z krokodyli bezszelestnie wsuwa się do wody i płynie za nimi. Nad powierzchnię wody wystawały jedynie oczy.

- Teraz widzę, jak udaje im się niepostrzeżenie dostać w pobliże ofiary. W życiu nie widziałam czegoś równie przerażającego, są takie potężne!

- To krokodyle słonowodne, nie mają żadnego naturalnego wroga.

- Słonowodne? Całe szczęście. Gdyby któryś z nich znalazł się w tamtej zatoczce pod wodospadem, byłoby już po nas.

- Wybacz, że ci to mówię, ale słonowodne krokodyle całkiem dobrze sobie radzą w słodkiej wodzie.

- Żartujesz! Chcesz mi powiedzieć, że tam mógł być krokodyl?!

- Jak myślisz, czy narażałbym na niebezpieczeństwo kobietę, za którą szaleję? - Przyciągnął ją do siebie. Nie mógł się doczekać, kiedy znowu znajdą się tylko we dwoje. Nie spał przez całą noc, ciągle przeżywając to, czego doświadczyli poprzedniego dnia. Wiedział, że Samanta w swoim namiocie też nie spała i także tęskniła za jego dotykiem.

- Ross...

- To jest jak gorączka, prawda? - Oparł brodę na czubku jej głowy. - Muszę coś wymyślić, żebyśmy znowu mogli być sami. Boże, choć jeden

pocałunek! Ale najpierw musielibyśmy się pozbyć tego twojego kochasia - rzekł kpiąco.

- To nie będzie łatwe. - Zerknęła w stronę dziobu.

Nikt nie patrzył na rufę, jedynie Matt nie odrywał od nich wzroku. Nie widać było wyrazu jego twarzy, gdyż rondo kapelusza rzucało na nią cień, lecz samo uporczywe przyglądanie się wydało się Samancie niepokojące. Matt zachowywał się jak zdradzony kochanek, a nie jak przyjaciel, z którym parę razy spotkała się na mieście.

Wczesnym popołudniem, gdy krokodyle przesypiały upał, szyper przybił do drewnianego pomostu, który wyglądał, jakby miał się rozsypać przy pierwszym podmuchu wiatru. Ross wyskoczył na brzeg i przycumował barcę.

- Panie i panowie, czekam na was do wpół do szóstej, potem odpływamy - ogłosił szyper. - W tym czasie wypiję za wasze zdrowie. Właśnie, Ross, nie obiecałeś mi aby butelczyny whisky?

- Obiecałem i przywiozłem - odkrzyknął Ross. - Ale dam ci ją, kiedy będziemy się rozstawać. I nie szukaj jej na łodzi, tylko stracisz czas, Goldy.

- Serca nie masz. - Szyper uśmiechnął się szeroko. - Bawcie się dobrze i uważajcie na siebie.

Tego dnia David zamierzał fotografować krokodyle, więc Ross zabrał z sobą strzelbę, Joe maczetę, nawet Isabelle miała przy pasie nóż. Kiedy zagłębili się w gęste zarośla, mężczyźni wzięli kobiety między siebie, a sami kroczyli po bokach, uważnie wypatrując węży. Po trzech kwadransach dotarli na polanę ocienioną przez ogromne bananowce.

- Jakie wielkie! - zachwyciła się Samanta. - Bardzo tu przyjemnie.

- W takim razie mam nadzieję, że miło spędzisz tutaj czas - odparł Ross.

- Słucham?!

- Nie idziesz dalej z nami, to zbyt ryzykowne. Wczoraj przeraził cię waran, widziałem też, jak przestraszyłaś się krokodyli, a zamierzamy podejść do



nich całkiem blisko, bo David chce sfotografować młode. W tej sytuacji nie możemy cię z sobą zabrać.

- Chwileczkę! To Isabelle się nadaje, a ja nie? - spytała gniewnie.

- Nie masz jej doświadczenia, ona wiele razy wyprawiała się ze mną i z tatą do buszu.

- Idę porozmawiać z Davidem - rzuciła wściekle.

- Nic ci to nie da, już wszystko ustalone. Nie chcemy narażać cię na ryzyko. Jesteś dla nas zbyt ważna, żeby...

- Do diabła z tym, czy jestem ważna! - wybuchnęła. - Próbujesz mnie spławić. Od początku nie chciałeś, żebym jechała na tę wyprawę!

- Sammy, to już dawno nieprawda, ponadto brałaś udział we wszystkim, co robimy. Zrozum, nie ma gwarancji, że w którymś momencie nie spanikujesz, nie krzykniesz.

- Robisz ze mnie idiotkę - wycodziła lodowato.

- Absolutnie nie. Po prostu stwierdzam, że brak ci doświadczenia.

- Ale ja chcę iść z wami.

- Nie idziesz i koniec dyskusji. Przykro mi. Postaram się jakoś ci to wynagrodzić. W każdym razie nie zajmie nam to dużo czasu, bo David umie pracować szybko w niebezpiecznych sytuacjach.

Nie chciał jej zabrać z sobą! Jej rozczarowanie sięgnęło zenitu, w oczach zakręciły się łzy. Zawstydzona, szybko zamrugowała.

- I co niby mam robić, kiedy was nie będzie? Siedzieć pod drzewem i śpiewać serenady?

- Czemu nie? Tak pięknie śpiewasz. Nigdy tego nie zapomnę.

Podjęła ostatnią próbę.

- Ross, będę trzymać się z tyłu.

- Nie!

- W porządku, idźcie beze mnie - mruknęła zrezygnowana.

- Nie dąsaj się, przecież chcę jak najlepiej dla ciebie.

- Uprzejmie informuję, że się nie dąsam, tylko czuję się głęboko dotknięta i jestem wściekła. Czasami zachowujesz się jak najgorszy tyran.

- Ja? Miej litość! Nie widzisz, że się o ciebie troszczę?

- Bardzo jesteś rozczarowana, Samanto? - spytała Isabelle, która podeszła do nich, by załagodzić kłótnię.

- Owszem. Chciałam iść z wami.

- Nikt nie wątpi w twoją odwagę, ale z krokodylami trzeba umieć postępować. To naprawdę niebezpieczne, wierz mi. Mówię z własnego doświadczenia. Zdarzają się groźne sytuacje i nikt by się nie zdziwił, gdybyś krzyknęła, a tego nie wolno robić.

- A ty byś nie krzyknęła, gdyby coś się zdarzyło?

- Nie, ona nie - uciął Ross. - Musisz pogodzić się z tym faktem.

- Zresztą ja też nie idę, zostaję z tobą - rzekła Isabelle. Matt zrozumiał, że nadarza mu się znakomita okazja.

Przywołał życzliwy uśmiech i podszedł do nich.

- Isabelle, zdawało mi się, że słyszałem, jak ofiarujesz się zostać razem z Sammy?

- Zostanę sama, Isabelle nie musi się poświęcać - z kwaśną miną powiedziała Samanta.

- Dlaczego sama? Z przyjemnością dotrzymam ci towarzystwa. To będą błyskawiczne ujęcia, więc David nie potrzebuje mojej pomocy. Zresztą ja już podczas tej wyprawy chodziłem po mokradłach, a Isabelle jeszcze nie - przekonywał Matt, sprawiając wrażenie człowieka, któremu leży na sercu dobro wszystkich zainteresowanych.

Ross ściągnął brwi.

- Bardzo to miłe z twojej strony, Matt, ale Belle nie ma nic przeciw temu, by zostać.

- To dla mnie żadne poświęcenie, Sammy. - Nie chciała jej zostawić samej z Mattem. - Nie zależy mi aż tak bardzo na tej wycieczce.

- Ale trochę ci zależy, więc po co komplikować sprawy? - Matt z niewinną miną potoczył wzrokiem po całej grupie. - Z przyjemnością posiedzę na tej polance. Nieraz spędzaliśmy czas wspólnie z Sammy, więc i teraz nie będziemy się nudzić.

Żeby zemścić się na Rossie, któremu wyraźnie nie podobał się ten pomysł, Samanta poparła propozycję Matta.

- Czyli ustalone - oświadczyła z udawanym ożywieniem, przywołując uśmiech na twarz. - Wy sobie idziecie na krokodyle, a my z Mattem zostajemy.

David skończył przepakowywać rzeczy i podszedł do pozostałych.

- Sammy, wiem, że jest ci przykro, ale będę znacznie spokojniejszy, jeśli poczekaasz na nas tutaj. Isabelle zgodziła się zostać z tobą.

- Nastąpiła zmiana planów - poinformowała go z uśmiechem. - Matt dotrzyma mi towarzystwa. Kto wie, może też zrobimy sobie małą wycieczkę?

- Lepiej nie - powiedzieli jednocześnie Belle i Ross.

- Tutaj będzie nam przyjemnie - wtrącił Matt, demonstrując, że całkowicie zgadza się z nimi. - Te dwie godziny zlecą nam nie wiadomo kiedy.

Samanta i Matt pospacerowali trochę po okolicy, nie zapuszczając się jednak zbyt daleko, po czym wrócili na polanę i usiedli w cieniu rozłożystego bananowca.

- Piękny, prawda? - rzekła Samanta, starając się jak najmilej spędzić czas w towarzystwie Matta, chociaż od kilku dni czuła się przy nim nieswojo. Gdzie podział się ten sympatyczny kumpel? W jego miejsce pojawił się ktoś inny, jakiś neurotyczny, niepokojący facet.

- Czy nie przyjemniej tutaj niż na mokradłach? - spytał. - Nie rozumiem, czemu tak bardzo chciałaś oglądać te krokodyle. Isabelle też się dziwię, chociaż trochę mniej, bo poszła ze względu na Davida. Próbuje zarzucić na niego sieć. Dostrzegłem to już na wernisazu. Tyle osób chciało z nim porozmawiać, a ona w końcu zdołała zagarnąć całą jego uwagę i od tej pory on staje na głowie, żeby się jej przypodobać. - Nie skrywał niechęci.

- Dlaczego tak jej nie lubisz? Isabelle jest bardzo życzliwą i mądrą osobą.

- A to jej nieudane małżeństwo? Jak mówi stare powiedzenie, nie ma dymu bez ognia. - Wyjął z futerału drogie okulary przeciwsłoneczne, włożył je.

- Wiem, jak bardzo kochasz Dave'a, więc też powinnaś być zaniepokojona.

Chyba nie chciałybyś widzieć go w szponach kobiety, która nałogowo niszczy mężczyzn? Modliszka...

- Jesteś do niej uprzedzony, to wszystko. Zresztą mój brat potrafi sam o siebie zadbać - ucięła poirytowana.

Wzruszył ramionami.

- Powinnaś była zobaczyć ich wczoraj, gdy spędzili cały dzień razem. W ogóle nie obchodził go krajobraz, fotografował tylko ją.

- Na pewno zrobił wspaniałe zdjęcia. Isabelle jest bardzo piękna. Nie tylko ma piękną twarz i wspaniałą figurę, ma również piękną duszę.

- Przyznaję, jest atrakcyjna, jeśli ktoś lubi ten typ. Mnie się nie podoba, bo to zimna, wyrachowana manipulatorka. Piękna dusza! - Parsknął krótkim śmiechem. - Nie znasz jej. Ani jej brata. Są pozbawieni serca, za to łamią je innym. Zbyt wiele osób mówi dobrze o Hartmannie i o tym, jak uwielbiał żonę, żeby to nie była prawda. A Isabelle podobno chciała go porzucić. Kilka lat po ślubie, wyobrażasz sobie? Jej brat jest bogaty jak lord i ma się za nie wiadomo kogo. Nawet się do niego nie zbliżaj, radzę ci to jako przyjaciel. Jest tak samo pozbawiony uczuć jak jego siostra.

- A może po prostu jesteś zazdrosny? - wypaliła, nie dbając o to, czy nie zrani jego uczuć.

- Zazdrosny? - powtórzył. - Kiedy widzę was razem, boli mnie to tak, jakby mnie żywcem obdzierano ze skóry. - Obrócił się ku niej. - Naprawdę będzie ci lepiej bez niego, Sammy. Z tego drania byłby straszny mąż. Czy możesz winić mnie za to, że troszczę się o twoje dobro? Coraz bardziej działał jej na nerwy.

- A nie przyszło ci do głowy, że potrafię sama sobie poradzić?

- Nie z nim. On jest inny.

- Rzeczywiście, jest inny. - Jej twarzy złagodniała, przybrała rozmarzony wyraz.

- Ostrzegam cię jako przyjaciel. Sunderland próbuje cię omotać, tak samo jak jego siostra próbuje omotać Davida. - Wziął ją za rękę. Uwielbiał jej piękne dłonie i już widział, jak na jednym ze smukłych palców połyskuje obrączka, którą jej włoży. - Jesteś prześliczna. Nie zniósłbym tego, że miałbym cię stracić przez kogoś takiego jak Sunderland.

Wyrwała rękę, mając ochotę zerwać się z miejsca i uciec. Po co w ogóle udawała, że chętnie zostanie z Mattem? Niepotrzebnie uległa pokusie odegrania się na Rossie, pokazania mu, że też ma coś do powiedzenia.

- Matt, czy kiedykolwiek dałam ci powód do myślenia, że może nas łączyć coś więcej niż przyjaźń?

- Z nikim się nie spotykałaś, na nikim ci nie zależało, przynajmniej do czasu, kiedy na swoje nieszczęście spotkałaś Sunderlanda. Mogłabyś mieć każdego, kogo byś tylko chciała. Mężczyźni czekali na jedno twoje skinienie, ale ty wybrałaś mnie, to ze mną umówiłaś się kilkakrotnie. A wiesz czemu?

- Nie wiem - jęknęła.

- Ponieważ wiedziałaś, że możesz mi zaufać. - Zdjął okulary przeciwsłoneczne i spojrzał jej w oczy. - A czy możesz zaufać Sunderlandowi? Co o nim wiesz? To niebezpieczny człowiek, który niczego po sobie nie zdradza. Tak, jesteś nim zafascynowana, w końcu to diablo przystojny facet, lecz jemu zależy tylko na tym, żeby cię wykorzystać, a potem zegnaj. To samo zrobi z następną i następną... Aż któregoś dnia ożeni się z jakąś tutejszą dziewczyną z bogatej rodziny. Oni zawsze tak robią, bo potrzebują kobiet, które znają ranczerskie życie. Z tobą nie ożeni się nigdy. Zmarniałabyś zresztą na tym pustkowiu, ze swoją urodą i talentami powinnaś błyszczeć w wielkim mieście, rozwijać się, robić wielką karierę. Sunderland nie da ci rozkwitnąć. Widziałaś dzisiaj, jaki z niego despotyczny łajdak.

To ją zirytowało do reszty.

- Nie zostałam tu po to, żeby wysłuchiwać oszczerstw pod adresem Sunderlandów. Nie mają one nic wspólnego z prawdą - oświadczyła ostrym tonem.

- Sammy, nie gniewaj się! Nie wierzysz mi, ponieważ nie chcesz mi wierzyć, jednak fakty...

- Matt, zostawmy ten temat, inaczej po prostu pójdę sobie. Naprawdę wolała pochodzić sama po okolicy niż znosić dłużej jego towarzystwo. Do obrony przed zwierzętami znajdzie jakiś gruby kij albo spory kamień, dużo ich leżało dookoła.

Matt jednak musiał powiedzieć Samancie wszystko, co leżało mu na sercu.

- Nie czułaś się upokorzona, kiedy kazał ci tu zostać, i to bez dyskusji? Zupełnie jakbyś była dzieckiem.

- Miał powód, by tak zrobić, rzeczywiście brak mi doświadczenia. Podobnie jak ty nie radzę sobie w buszu.

Gwałtownie chwycił ją za nadgarstek.

- Mógł to powiedzieć delikatniej. Nie miał prawa zwracać się do ciebie w ten sposób.

- To boli! - Z trudem wyszarpnęła rękę.

Potrząsnął głową.

- Nie, nigdy bym cię nie skrzywdził, ponieważ cię kocham. Rzuciłaś na mnie czar. Pragnę cię, odkąd Dave nas sobie przedstawił. Czekałem, byłem cierpliwy. Patrzyłem na ciebie dzień i noc, bo mam ściany wyklejone twoimi zdjęciami, wszystkie ściany w całym mieszkaniu.

- Co?! To niemożliwe!

Miał nadzieję, że ujrzy na jej twarzy przyjemne zaskoczenie, lecz zamiast tego zobaczył niechęć, a nawet odrazę.

- To bardzo piękne zdjęcia - przekonywał, boleśnie dotknięty jej reakcją. - Nawet nie wiedziałaś o mojej obecności, kiedy cię fotografowałem, to było bardzo podniecające.

- Boże, to chore!

- Nie psuj tego, co jest między nami - rzekł z dziwnym błyskiem w oczach. - Skąd wiesz, co jest chore, a co nie? Skąd wiesz, czym jest miłość?

Chciała wstać, lecz mocno ją przytrzymał.

- Matt, pozwalasz sobie na zbyt wiele - oświadczyła ostro. - Lepiej się opanuj, inaczej David się dowie, że zacząłeś mnie napastować, a chyba tego nie chcesz?

Z desperacją zacisnął powieki.

- Jak mogę cię przekonać, że naprawdę cię kocham? Powiedz mi. Zrobię wszystko, co zechcesz.

Wykorzystała okazję, zerwała się na równe nogi i odsunęła kilka kroków.

- Wskocz do rzeki i ochłoń trochę.

- Bez żartów, Sammy. - Podniósł się i groźnie ruszył w jej stronę. - Jesteś moja. Tylko moja. Na zawsze. Sunderland mi cię ukradł.

- Czyżbyś próbował mnie przestraszyć?

- Bądź miła. - Obdarzył ją najładniejszym ze swoich uśmiechów. - Inaczej mogę zrobić ci krzywdę. Wcale tego nie chcę, ale za bardzo mnie ranisz.

- Niedobrze z tobą, Matt. Na twoim miejscu zwróciłabym się do lekarza.

- Ach tak?

Już się nie uśmiechał. Skoczył ku niej, zamierzając wbić jej trochę rozumu do głowy, podobnie jak jego ojciec przywoływał do porządku matkę, kiedy nie chciała się słuchać.

Samanta obróciła się na pięcie i rzuciła się do ucieczki.

- Wracaj! - wrzasnął.

Potknęła się o korzeń bananowca i runęła jak długa, a Matt w ułamku sekundy znalazł się na niej. Wyglądał dziwnie; twarz mu poszarzała, wystąpiły na niej krwawe plamy.

- Co ty wyprawiasz? - warknął.

- Ja? Raczej co ty wyprawiasz? Oszalałeś?!

Z całej siły uderzył ją w twarz.

- Oddałeś mu się, prawda?

Chwycił ją za włosy, szarpnął, by musiała na niego spojrzeć. Nienawidził, kiedy coś szło nie po jego myśli. Nienawidził, kiedy mu się nie udawało.

Co za koszmar, pomyślała Samanta. Serce waliło jej mocno.

- Jak śmiałeś mnie uderzyć? Jak śmiałeś?!

- Och, tak mi przykro... Sammy, wybacz mi. Ale to twoja wina, rozgniewałaś mnie, nie powinnaś tego robić. Pocałujmy się na zgodę.

Pocałował ją gwałtownie, próbując wepchnąć język w jej usta, a gdy Samanta zacisnęła zęby, próbował rozewrzeć jej szczęki palcami.

- Chcesz mnie zgwałcić? - warknęła przez zaciśnięte zęby. Walczyła rozpaczliwie, próbując zrzucić go z siebie, lecz bezskutecznie. - Spróbuj, a już po tobie.

Nie słuchał jej, całkowicie owładnięty demonem agresji. Zrozumiała, że on nie przestanie i po pocałunku zażąda więcej. Wiedziała też, że nikt nie przyjdzie jej z pomocą, musiała poradzić sobie sama. Udała więc uległość, rozłożyła szeroko ramiona, jakby poddawała się w ekstazie i niepostrzeżenie zaczęła szukać jakiegoś kamienia, jednocześnie próbując łapać powietrze, ponieważ Matt dusił ją brutalnymi, ohydnyimi pocałunkami.

Och, skończyć z tym jak najprędzej!

Ponieważ wciąż nie znajdowała niczego, czym mogłaby go uderzyć, przesunęła się nieco na bok, udając, że wije się w ekstazie. Wypadło to przekonująco, gdyż kilkakrotnie powtórzył jej imię zachwyconym głosem i rozpiął jej bluzkę. Kiedy nachylił głowę, całe ciało Samanty zeszytywniało z



odrazy, lecz przemogła się i znowu przesunęła nieco, z determinacją szukając jakiejś broni. Naraz jej palce natrafiły na spory okruch skały.

Boże, wybacz mi, pomyślała i zamachnęła się. Matt kątem oka dostrzegł ten ruch, obrócił głowę i w ułamku sekundy zrozumiał, że został oszukany, że ona cały czas udawała. Nie zdążył jednak zareagować, bo kamień trafił go między skroń a ucho.

Zachwiał się i ciężko upadł na Samantę. Szybko zepchnęła go z siebie. Chciała wstać, lecz nie zdołała, nogi ugięły się pod nią, upadła na kolana. Twarz ją paliła, okolice uderzonego oka piekły. Pewnie będzie miała potężny siniec.

„Wstawaj, Sammy”.

Ten rozkazujący głos w głowie brzmiał jak głos ukochanego dziadka.

„Wstawaj i uciekaj. Będę przy tobie”.

„Czy go zabiłam? - spytała w myślach. Błagam, powiedz, że nie.

„Nie zabiłaś. A teraz wstawaj”.

- Jest mi słabo. Jest mi niedobrze - powiedziała na głos, jakby dziadek rzeczywiście był przy niej. - Nie dam rady.

„Dasz. Wszystko będzie dobrze, pokażę ci drogę. Biegnij z powrotem na barcę”.

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

Rossa cały czas gnębił dziwny niepokój, który narastał z każdą chwilą.

- Sfotografowałeś już młode? - spytał Davida. - Musimy się zbierać, ich matka zaraz wróci.

W rzeczywistości wcale nie obawiał się powrotu krokodyla, lecz tego, że Samanta pozostała w towarzystwie Matta. To prawda, facet raczej nie był groźny, niemniej Ross nie miał o nim dobrego zdania.

- Jeszcze tylko jedno zdjęcie - obiecał David.

Chwilę potem złożyli sprzęt i wycofali się z mokradeł. Kiedy wrócili na polanę, ku swemu zaskoczeniu nie znaleźli ani Samanty, ani Matta. Zaniepokojony Ross zawołał ich tak głośno, jak potrafił, co spowodowało tylko, że z drzew zerwało się stado ptaków.

- Gdzie oni się podziali? - spytała zdenerwowana Isabelle, gdyż intuicja podpowiadała jej, że ogarnięty obsesją na punkcie Sammy Matt mógł posunąć się za daleko.

Tropiciel Joe dokładnie spenetrował teren, a potem skinął na nich.

- Te dwa świeże tropy wiodą z powrotem do lasu.

- Poszli do lasu? Dlaczego? Czyżby chcieli wrócić na barcę? Przecież kazałem im tu czekać i nigdzie nie łązić, w zaroślach jest pełno niebezpiecznych węży. - Ross gniewnie patrzył na gęsty las. Z trudem opanował panikę. Jeśli cokolwiek jej się stało! - Nie ma sensu dłużej gadać, tylko tracimy czas.

- Nie rozumiem, jak Matt mógł do tego dopuścić - rzekł David, ściągając brwi. - A Sammy jest jeszcze bardziej rozsądna od niego. Jak mogli zapuścić się w las bez przewodnika?

- Wytropimy ich, nie martw się - zapewnił Ross.

- Łatwo powiedzieć... Proponuję się rozdzielić. My z Isabelle pobiegniemy w stronę rzeki inną drogą. Nie zgubię się na pewno, skoro zdołałem przejść przez lasy Indonezji.

- Wołajcie, gdybyście ich znaleźli. A teraz ruszajmy, nie ma czasu do stracenia.

Dwadzieścia minut później Ross i Joe natrafili na Matta Howartha, który jak błędny chodził w kółko pomiędzy drzewami, potykając się co krok, jakby był straszliwie zmęczony. Mamrotał przekleństwa, wyraźnie nie wiedział, co z sobą począć i dokąd iść. Dopiero gdy podbiegli bliżej, zobaczyli, że jest zalany krwią.

- Na miłość Boską, co się stało? - krzyknął Ross, chwytając go za ramiona. - Gdzie Samanta? Mów!

Matt trząśł się jak w febrze.

- Głupia suka! - wyrzucił z siebie.

Oniemieli na moment, a potem Ross z furją przydusił Matta do pnia drzewa.

- Pokłóciliście się? Co się stało? Samanta wróciła na barkę?

- Ta idiotka uderzyła mnie kamieniem. - Przyłożył dłoń do opuchniętej skroni. Miał kompletnie otepiały wzrok.

Rossowi krew ścięła się w żyłach. Doskonale wiedział, że Samanta mogła tak postąpić tylko wtedy, gdyby znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. Zacisnął dłoń w pięść, lecz Joe położył mu dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, Ross. Zostaw tego gnojka, zapomnij o nim, marnujemy czas. Szukajmy panienki Sammy.

Czerwona mgła ustąpiła sprzed oczu Rossa. Rzeczywiście, liczyła się każda sekunda, przecież Samanta znajdowała się sama w buszu, tym razem nikt jej nie chronił. Delikatna dziewczyna z miasta, zdana na własne siły w takim miejscu...

- Masz tu zostać - przykazał Mattowi ostro. - Nie ruszaj się stąd ani na krok, jeśli ci życie miłe.

Howarth zaniósł się niepohamowanym śmiechem i upadł na ziemię, na której roilo się od mrówek i innych owadów.

- Módl się, żeby Samancie nie stało się nic złego, w przeciwnym razie zastrzelę cię jak psa, ty śmierdzący tchórze - dodał Ross.

Matt przestał się śmiać, podniósł głowę, a jego oczy przybrały tragiczny wyraz.

- Zastrzel mnie. Nie dbam o to.

- Szkoda kuli na ciebie - rzucił Ross z pogardą.

Szybko dobiegli nad rzekę. Parę chwil później z zarośli wyłonili się David i Bella. Cała czwórka widziała w oddali pomost i barcę, lecz na jej pokładzie nie dostrzegli żywego ducha.

- Nie znaleźliśmy nikogo - powiedział David.

- My znaleźliśmy Howartha. Zabiję go, jeśli Samancie coś się stało.

Isabelle i David pospieszyli ku nim.

- Gdzie on jest? Zostawiliście go w lesie? Co się dzieje?

- Musiała uciec przed nim, ścigał ją. Uderzyła go kamieniem w głowę.

Davidowi wyrwało się sążniste przekleństwo, podczas gdy Isabelle zgięła się jak w ataku bólu.

- Belle! - David podtrzymał ją, a przerażenie w jego głosie zdradziło wszystkim, jak bardzo była dla niego ważna.

- Widać biegliśmy za szybko. Nic ci nie jest?

Potrząsnęła głową i wyprostowała się w momencie, gdy na pokładzie pojawił się szyper, który usłyszał ich głosy.

- Jest tutaj, jest tutaj! - wrzasnął na całe gardło. - Gdzie jest Howarth, to ścierwo? - Z odrazą splunął na deski pokładu.

- Jeśli cokolwiek jej zrobił, rzucę go między krokodyły - rzekł David.

Samanta podniosła się z koi. Co miała im powiedzieć? Że Matt próbował ją zgwałcić? Nie, to zbyt drastyczne. Jak wytłumaczyć, co zaszło, jak wyjaśnić im swój wygląd? Powoli robił jej się siniec pod okiem, od szalonego biegu przez las miała szramę na policzku i podrapane ramiona, w potarganych włosach tkwiły suche listki i drobne gałązki. Co robić?

„Idź do nich, Sammy, pokaż się. To nie twoja wina”.

Znowu dziadek. Już raz jej pomógł, wskazał drogę na barcę, więc posłuchała go i teraz.

Na jej widok cała czwórka zamarła.

- Boże! - Ross zbladł, twarz mu się ściągnęła.

- Och, Sammy! - Isabelle wybuchnęła płaczem, chociaż wiedziała najlepiej z nich wszystkich, czego się spodziewać. Tylko ona domyślała się, przez co przyjaciółka musiała przejść.

- Samanto, kochanie! - David był już przy siostrze i tulił ją do siebie. - Nic ci się nie stało? Powiedz - szepnął, obawiając się najgorszego.

- Nie, nic - zapewniła go czym prędzej.

- Dopilnuję, żeby Howarth za to zapłacił. Jak mogłem wpuścić między nas taką zmiję?

Tymczasem Ross próbował pocieszyć siostrę, która szlochała, nie mogąc się uspokoić, a wszystkim aż serce się krajało, gdy to słyszeli. Samanta łagodnie wysunęła się z objęć Davida, zapominając o swoich przejściach, myśląc tylko o tym, by pocieszyć przyjaciółkę. Otoczyła ją ramieniem, z troską patrząc na malujący się na jej twarzy ból.

- Chodź do kajuty, powinniśmy odpocząć. - Spojrzała na Rossa, lecz on stał sztywno wyprostowany, dziwnie nieprzystępny. - Przykro mi, że naraziłam was wszystkich na taki stres.

W milczeniu odprowadzili je wzrokiem.

- Pora zająć cię Howarthem. Idę po niego - oświadczył Ross.

- To ryzykowny pomysł, zważywszy na to, jak się czujesz - zauważył ponuro David.

- Pójdę z tobą - zaofiarował się Joe i już miał zejść na pomost, gdy Ross przytrzymał go za ramię.

- Zostań, dość już zrobiłeś. A jeśli się boisz, że uszkodzę drania, to obiecuję, że tego nie zrobię. To znaczy nie uszkodzę go za bardzo.

- Idę z tobą, będę cię pilnował - zdecydował David. - A ty pilnuj, gdyby poniosło mnie.

Po tym koszmarnym wydarzeniu nic już nie było tak jak dawniej, żadne z nich nie miało ochoty na kontynuowanie wyprawy, postanowili więc wrócić do Darwin. Matt nie okazał najmniejszej skruchy, lecz mimo to Samanta i tak nie zamierzała wnosić przeciw niemu oskarżenia, ponieważ cała historia została opisana w gazetach, a tego by nie zniosła. Wołała o wszystkim zapomnieć. Co innego, gdyby miała podstawy obawiać się, że Matt kiedyś zaatakuje inną kobietę, ale jego obsesja ewidentnie dotyczyła tylko jej.

Ross i David odstawili go do szpitala, gdzie poddano go badaniom psychiatrycznym. Przy okazji wydało się, że w wieku kilkunastu lat stwierdzono u niego psychozę afektywną, którą to diagnozę potwierdzono dziesięć lat później po jego załamaniu nerwowym. Matt, któremu nie uśmiechało się leczenie w zakładzie zamkniętym, przyznał, że nie bierze lekarstw regularnie, ponieważ źle znosi skutki uboczne. Ranę głowy wytłumaczył tym, że potknął się i upadł na kamień. Kiedy po kilku dniach badań i obserwacji przepisano mu nowe leki i wypuszczono ze szpitala, David odwiózł go do motelu i nakazał jak najszybciej wynosić się z okolicy.

- Jak to? Zwalniasz mnie? Nie chcesz mnie więcej widzieć? - spytał z niedowierzaniem Matt, jakby to on był ofiarą.

- Ciesz się, że tylko tyle. Wszystko mogłoby skończyć się znacznie gorzej, gdyby moja siostra nie była taka dzielna. Na twoim miejscu nigdy więcej nie pojawiłbym się na północy, bo Sunderland ci nie wybaczył i nigdy tego nie zrobi. Tak naprawdę muszę trzymać go z dala od ciebie. Aha, jeśli kiedykolwiek spróbujesz zbliżyć się do Samanty, będziesz miał do czynienia również ze mną.

- Spojrzał na niego ciężko, twardo. - I ten z nas, który będzie szybszy, zabije cię.

Joe odwiózł Samantę i Isabelle do North Star, natomiast ich bracia pozostali w Darwin przez tydzień, by wywołać materiał, dać negatywy do zeskanowania i pozafatwiać różne sprawy. Nikogo z całej czwórki nie

interesowały już te zdjęcia, stracili serce do projektu, lecz album musiał się ukazać. Wszyscy wiedzieli, że minie dużo czasu, nim dojdą do siebie po tym, co zaszło.

Samanta przypuszczała, że między nią a Rossem wszystko skończone, ponieważ po tamtym koszmarnym wydarzeniu wycofał się, nie próbował jej pocieszyć czy pomóc w inny sposób. Ale chyba niemożliwe, by winił ją za zachowanie Matta?

- Nawet tak nie myśl - zaproponowała Isabelle, kiedy Samanta podzieliła się z nią swoimi obawami. - Gdyby coś ci się stało, mój brat byłby zdruzgotany.

Nie dodała nic więcej, jakby było całkiem oczywiste, czemu Ross zachowuje się w tak dziwny sposób.

Kiedy ich bracia wrócili z Darwin, wybiegły im na powitanie. Samanta utonęła w objęciach Davida, a potem odwróciła się do ukochanego mężczyzny, on jednak nawet nie odezwał się do niej.

- Ross? - spojrzała na niego pytająco.

- Cześć. - Nie uśmiechnął się, tylko przyglądał jej się przenikliwie, zauważając, że siniec i zadrapania już zniknęły. - Jak się czujesz?

- Dobrze.

Skinął głową i bez słowa ruszyli w stronę domu. Za ich plecami David wyciągnął rękę w stronę Isabelle, a ta podeszła i lekko przytuliła się na powitanie. David nie zdołał się powstrzymać i pocałował ją w policzek, lecz potem wyprostował się szybko.

- Szkoda, że musiałem spędzić cały ten tydzień z dala od was. Byłaś w złym stanie, gdy się rozstawaliśmy.

- Już jest znacznie lepiej - zapewniła.

Dlaczego nie spotkała tego mężczyzny, zanim poznała Blaira? Ileż zostałoby jej zaoszczędzone! Do tego nie zrobiłaby się tak straszliwie zamknięta w sobie. W ciągu minionego tygodnia kilkakrotnie zamierzała powiedzieć Samancie prawdę o swoim małżeństwie, lecz tchórzyła w ostatnim momencie.

Zresztą po co miała składać na barki przyjaciółki kolejny ciężar? Samanta musiała uporać się z własnymi traumatycznymi przeżyciami.

Isabelle bezwiednie wzięła Davida za rękę i splotła palce z jego palcami, a ten drobny gest był dla niego jak zaproszenie, na które czekał od dawna.

- Tęskniłem za tobą - rzekł cichym, pełnym uczucia głosem.

- Ja też za tobą tęskniłam - wyznała, a w jej oczach mignął cień niepokoju, jakby nie wierzyła, czy to, co się między nimi dzieje, naprawdę jest możliwe.

Uniósł jej dłoń do ust. Isabelle wciąż jeszcze czegoś się lękała, lecz jeśli istniała droga do jej serca, to on ją znajdzie.

Zjedli kolację, a kawę wypili na tarasie, siedząc w wygodnych ratanowych fotelach i patrząc na wielki miedziany księżyc, wiszący nad wierzchołkami drzew i rzucający blask na rozległy ogród. Samanta nie brała udziału w rozmowie. Milczała, czując narastający smutek. Ze względu na pozostałych Ross udawał, że między nimi jest wszystko w porządku, lecz ona czuła, że harmonia, która zrodziła się przy wodospadzie, znikła bez śladu.

Za to po Isabelle i Davidzie od razu było widać, że są stworzeni dla siebie. Samantę co prawda dziwiło, jak młoda wdowa mogła zakochać się tak szybko po utracie męża, lecz domyślała się, że Belle wcale tego nie chciała - podobnie jak ona nie chciała zakochiwać się w Rossie. Widać obie padły ofiarą czegoś silniejszego od nich, jednak w przypadku Isabelle wszystko układało się szczęśliwie.

- ...a ty co o tym myślisz, Sammy? - Głos brata wyrwał ją z zamyślenia.

- Przepraszam, musiałam przysnąć na chwilę. Co mówiłeś?

- Nic ważnego, kotku - zapewnił. Dotknęła dłonią skroni.

- Trochę boli mnie głowa, pewnie przez ten dzisiejszy upał.

- Będzie burza - powiedziała Isabelle. Samanta się podniosła.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, pójdę się położyć.



- Jest jeszcze wcześniej, lepiej chodź na spacer. - Ross wstał również i dyskretnie zerknął na Davida. Był przekonany, że przyjaciel bardzo chciałby zostać sam z Isabelle.

- Dobrze - zgodziła się Samanta i pozwoliła, by wziął ją za rękę.

Ledwie odeszli trochę, Ross puścił jej dłoń.

- O co chodzi, Ross? - Musiała wreszcie wszystko wyjaśnić i wiedzieć, na czym stoi. - Coś jest nie tak. Co się dzieje?

- Jak to co? - W jego głosie brzmiało napięcie. - Ten przeklęty Howarth prawie cię zgwałcił, a ja nie tylko mam puścić to płazem, ale jeszcze o tym zapomnieć?

Czy ona nie rozumiała, co przeżywa mężczyzna, gdy jego kobieta została zaatakowana? Ross czuł się tak, jakby ktoś wydarł mu serce z piersi.

- Ja muszę - odparła. - Czy wytłumaczysz mi wreszcie, czemu uważasz, że to wszystko moja wina?

- Nigdy nie powiedziałem, że to twoja wina - odparł gniewnie.

Gotował się ze złości na myśl o tym, że napaść na Samantę ujdzie Howarthowi bezkarnie, lecz nie mógł nic aa to poradzić, a ta bezsilność tylko podsycala jego frustrację. W dodatku był wściekły na Samantę, która została w towarzystwie Matta jedynie po to, by odegrać się na nim, co omal nie doprowadziło do tragedii. Gdy pomyślał o tym, co musiało wtedy zajść między Sammy a tym draniem... nie, z całych sił próbował o tym nie myśleć, by nie oszaleć.

- Ale pokazałeś, że tak myślisz, przecież odsunąłeś się ode mnie. Często tak robisz? Rozkochujesz w sobie kobietę, ba, sam się zakochujesz, lecz nie potrafisz sprawić, by to trwało?

- Nie mów głupstw - warknął, czując się coraz bardziej podle.

Teraz i ona się wściekła.

- Nie mówię żadnych głupstw! Wydawało mi się, że dzieje się między nami coś naprawdę poważnego.

Zatrzymał się gwałtownie.

- Kiedy jakiś mężczyzna atakuje kobietę, którą się kocha, to taki cios sięga najgłębiej, jak to w ogóle możliwe, sięga czegoś najbardziej atawistycznego w człowieku. Nie rozumiesz tego?

Popatrzyła na jego udreconą twarz.

- Rozumiem doskonale. To, co się zdarzyło, było koszmarnie, ale mogło być o wiele gorzej.

- Dotąd mi nie powiedziałaś, jak daleko zdołał się posunąć.

- Ross, nie wierzysz mi?! Powiedziałam przecież, że mogło być o wiele gorzej.

- Nie mówię, że ci nie wierzę, ja po prostu... chyba nie umiałbym z tym żyć.

Do jej oczu napłynęły gorące łzy.

- Bo straciłabym wartość? Odsuwasz się ode mnie, bo zostałam zbrukana, bo już nie jestem ciebie godna?

Był na krawędzi obłędu. Miał wrażenie, że miota się w zamkniętej klatce i nie może się wydostać.

- Albo nie wiesz, co mówisz, albo ja nie umiem wytłumaczyć, co czuję! Nie potrafię pogodzić się z tym, co się stało, chociaż nie wiem, jak daleko to zaszło, ani z tym, że Howarth nie poniesie żadnej odpowiedzialności za przestępstwo, którego próbował się dopuścić. To byłaby zbrodnia na tobie, lecz on nie poniósł żadnej kary.

- Nie do końca, przecież przyłożyłeś mu zdrowo parę razy, David mi powiedział.

- Dziwisz mi się? Ten łajdak niczego nie żałował, zachowywał się tak, jakby miał prawo ci to zrobić. Najchętniej bym go zabił, ale wtedy zniżyłbym się do poziomu zwierzęcia.

Poczuła, że z powodu jego gniewu oddalają się od siebie coraz bardziej.

- A ja nie chciałam go zabić. Chciałam go unieszkodliwić i uciec. -  
Milczała przez chwilę. - Wymusił na mnie pocałunki i dotykał moich piersi -  
wyznała z trudem, rozumiejąc, że Ross naprawdę musi wiedzieć, co zaszło. -  
Musiałam udawać uległość, żeby znaleźć coś, czym mogłabym go ogłuszyć.

- Zachowałaś się bardzo dzielnie. - Z jednej strony podziwiał ją za zachowanie zimnej krwi, lecz z drugiej był wściekły na nią, jakby go zawiodła. Co się z nim działo, na litość boską? Dlaczego ją odpychał, chociaż nie wyobrażał sobie życia bez niej? Miłość wyprawiała z nim straszne rzeczy. Westchnął ciężko. - Powiedziałaś mi całą prawdę?

Musiała odczekać moment, by się opanować. Z każdą chwilą robiło jej się coraz smutniej, gdyż Ross wykopywał między nimi przepaść nie do przebycia.

- Gdyby stało się coś więcej, potrzebowałabym chyba nieludzkich sił, by zachowywać się tak, jak zachowuję się teraz. Serce mi się kraje, gdy pomyślę o ofiarach gwałtu. To jest niewyobrażalny koszmar, bo wtedy nie tylko ciało kobiety zostaje zgwałcone, ale także dusza.

- Przecież cały czas o tym mówię! I właśnie dlatego pragnę zabić Howartha. Czemu nie wniesiesz oskarżenia?

- Naprawdę tego chcesz?

- Coś takiego nie powinno nikomu uchodzić płazem.

- Ross, podjęłam tę decyzję nie dla jego dobra, tylko ze względu na nas czworo. Nie chcę, by ciągnano wszystkich po sądach, opisywano w gazetach, by szerzyły się plotki. W dodatku... - głos jej się załamał - ...zdołałam uciec.

- To po prostu cud! Howarth ma zaskakująco dużo siły, gdy zaczyna szaleć. Z trudem doprowadziliśmy go na barcę, chociaż ani ja, ani David nie należymy do ułomków. Nie tylko zdołałaś go unieszkodliwić, ale jeszcze dotarłaś nad rzekę i odnalazłaś Goldy'ego, a przecież nigdy wcześniej nie byłaś w buszu. Bardziej doświadczeni od ciebie potrafią zginąć bez śladu.

- Dziadek wskazał mi drogę.

- Co?!

- Naprawdę. Pomagał mi za życia, pomógł mi i teraz. To potwierdza moje przekonanie, że po śmierci nadal się istnieje, tylko w innym wymiarze. Pewnie myślisz, że ze strachu wpadłam w histerię, ale to nieprawda. Dziadek mówił mi, którądy mam iść i wyszłam prosto na barękę.

Odetchnął gęboko. Wszystko to brzmiało dziwnie, lecz Samanta rzeczywiście bezbłędnie odnalazła drogę przez las, jakby miała przewodnika.

- Cała ta historia jest nieprawdopodobna, ale być może wszyscy jesteśmy winni wdzięczność twojemu dziadkowi.

- Nie wierzysz w to?

Na jego ustach pojawił się blady uśmiech.

- Najważniejsze, że ty w to wierzysz.

Wyciągnął rękę, jakby chciał ją objąć, lecz Samanta odsunęła się gwałtownie, chociaż za nic w świecie nie umiałyby wyjaśnić, czemu tak się zachowała.

- Naprawdę boli mnie głowa. Idę się położyć.

Isabelle i David siedzieli na tarasie, w milczeniu rozkoszując się tym, że są razem. Czują się jak motyl, który wydostał się z niepotrzebnego już kokonu, zaraz rozłoży skrzydła i polecą.

- Ross jest kompletnie wytracony z równowagi - odezwał się wreszcie David. - Trudno mu się dziwić. Każdy mężczyzna zrobiłby wszystko, by ochronić swoją kobietę przed choćby najmniejszą krzywdą.

Wreszcie zdobyła się na odwagę. Kochała go, więc musiała być z nim absolutnie szczerą.

- Nie każdy - stwierdziła z gęboką powagą.

- Mówisz, jakbyś znała kogoś takiego.

- Znałam. Byłam jego żoną - wyznała cicho.

- Isabelle! - Ujął jej dłonie. - O czym ty mówisz? Uśmiechnęła się smutno.

- Podobnie jak tysiące, a może nawet miliony kobiet, miałam męża brutalą. Dlatego tak zareagowałam, kiedy zobaczyłam, co Matt zrobił Samancie.

- Wielki Boże! - Dopiero teraz zrozumiał Rossa, który najchętniej zabiłby Howartha gołymi rękami. - Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Muszę.

- Chodź do mnie. - Wstał, wziął ją na ręce, jakby była małą dziewczynką, i z powrotem usiadł na fotelu.

Oparła głowę na piersi Davida.

- Nikt o tym nie wie, nawet tacie i bratu nic nie powiedziałam, za bardzo się wstydziłam, w dodatku bałam się, że zrobią coś... gwałtownego. Sam widzisz, jak Ross reaguje na to, co przydarzyło się Samancie. Jesteś pierwszą osobą, której powiedziałam prawdę, Davidzie. Ufam ci.

- Zawsze możesz mi ufać. - Pocałował jej włosy, bezgranicznie wdzięczny za wiarę, jaką w nim pokładała.

- Wiem. To ty mnie uzdrowiłaś. - Wtuliła się w niego jak dziecko. - Wszystko zaczęło się pół roku po ślubie. Niemal codziennie gdzieś wychodziliśmy, gdyż Blair uwielbiał się mną chwalić, lecz jego zdaniem ciągle robiłam coś nie tak. Przy ludziach mi nadskakiwał, ale po powrocie do domu zaczynało się piekło. Kiedy uderzył mnie po raz pierwszy, nie mogłam w to uwierzyć. I nikt inny by w to nie uwierzył, gdyż w towarzystwie Blair był czarujący, ludzie mi mówili, że taki mąż to prawdziwy skarb.

- O mój Boże - powtórzył David. On również słyszał historie o wspaniałych mężach i niewdzięcznych żonach, ba, dawał im wiarę. Dopiero teraz widział, co mogło stanowić przyczynę oziębłości tych kobiet, które pozornie nie miały powodów do narzekań.

- Po każdym takim zajściu przeproszał, obsypywał mnie prezentami, obiecywał, że to się więcej nie powtórzy. Oczywiście nie dotrzymywał słowa, bił mnie znowu. Z czasem nauczyłam się oddawać... To wszystko było takie upokarzające! Zagroził, że mnie zabije, jeśli odejdę.

- Och, Isabelle! Powinnaś była powiedzieć o tym ojcu lub bratu.

Zadrzała.

- Nigdy. Wtedy byłam zbyt dumna i nie chciałam się przyznać, że popełniłam straszliwy błąd, a teraz tym bardziej mu o tym nie powiem, bo nie zrozumiałby, dlaczego nie poprosiłam go o pomoc. Zresztą nie mogę obarczać go dodatkowym stresem. Ale przed tobą nie potrafię udawać - dodała drżącym z emocji głosem.

- Ponieważ będę twoim kochankiem? Twoim mężem? - spytał, wiedząc, że to po prostu nieuniknione.

Wciąż nie podnosiła na niego oczu.

- A chcesz nim być?

- Czy chcę? Czekalem na to tak długo... Ale nie mogę czekać już ani chwili dłużej. Pocałuj mnie.

Ich usta odnalazły się. Nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego, to była prawdziwa namiętność, prawdziwa ekstaza. Blair zawsze twierdził, że jest oziębła, lecz teraz płonęła wraz z Davidem, gdy całowali się bez chwili wytchnienia, nie mogąc się sobą nasycić.

- Wyjdiesz za mnie? Wiem, że nie minęło wiele czasu od... - Nie, nie mógł wydusić z siebie znieawidzonego nazwiska Hartmanna. - Isabelle, dość już udawania żałoby. Zaslugujesz na szczęście. Przysięgam, przez resztę życia będę robił wszystko, żeby wynagrodzić ci to, przez co przeszłaś. Kocham cię. Pokochałem cię w chwili, kiedy cię zobaczyłem.

- To samo stało się ze mną. - Położyła dłoń na jego policzku, z jej oczu płynęły łzy szczęścia.

- Wiesz, że niedługo mam jechać do Indonezji. Pojedziesz ze mną?

- Pojadę z tobą na koniec świata. - Odetchnęła głęboko.

- Bądź ze mną dziś w nocy.

- Naprawdę tego chcesz? A może mówisz to tylko po to, by sprawić mi przyjemność?

- O nie, moim celem jest sprawienie przyjemności samej sobie! - Ze śmiechem ujęła jego twarz. Jej David. Jej lew. - Kocham cię.

- Czym sobie na to zasłużyłem, żeby pokochała mnie tak wspomniała i dzielna kobieta? Tak, jesteś dzielna, Isabelle. Co takiego powiedziałaś wtedy temu łajdakowi, że uciekł w noc?

- Że nie wracam z nim do domu, że odchodzę na zawsze, a jeśli spróbuje mnie powstrzymać, pójdę na policję, do jego szefa, do jego rodziny i przyjaciół, i wszystkim opowiem całą prawdę. W moim głosie musiało być coś, co go przekonało, że naprawdę to zrobię. Gdybym powiedziała to w domu, a nie na przyjęciu, mógłby mnie zabić, gdyż zupełnie tracił kontrolę nad sobą.

- Isabelle, czy oczekujesz, że będę milczał, tym samym stojąc na straży dobrego imienia tego drania? Nie wiem, czy potrafię to zrobić. Moim zadaniem jest cię chronić, również przed ludzką obmową.

- Ale wtedy i Ross się dowie - rzekła z niepokojem.

- Ross zrozumie i poradzi sobie z tym. Nie zgadzam się, by ktokolwiek źle o tobie mówił, a w pierwszej kolejności zamknę usta tej okropnej Evelyn Hartmann. Proszę, zostaw to mnie. Isabelle, czy zechcesz zdać się na mnie?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, Davidzie.

## ***ROZDZIAŁ DZIESIĄTY***

Burza rozpełtała się tuż po północy, a Samanta nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Przerazona i zafascynowana jednocześnie, wyszła na werandę, gdzie natychmiast przemokła do suchej nitki, gdyż z nieba lały się kaskady wody. Aż dziw, że dach się pod nimi nie załamał. Drzewa w ogrodzie gięły się, smagane wichurą, pioruny waliły raz za razem. Obserwowała to niesamowite widowisko, przytulona plecami do ściany. Czerń, a potem srebrny rozblask. Potem znowu. I znowu.

- Samanta?

Usłyszała jego głos mimo ryku burzy, usłyszałaby go wszędzie. Ross szedł w jej stronę, a ona umierała z pragnienia, by wziął ją w ramiona. Niestety, nie zachował się jak чуły kochanek.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - ryknął i z miejsca zaciągnął ją do sypialni. - Chcesz, żeby raził cię piorun?

Już i tak była podekscytowana burzą, a teraz jeszcze miała w swoim pokoju mężczyznę, którego kochała. Postanowiła wykorzystać sytuację do granic możliwości.

- Jesteś zupełnie mokra - stwierdził, przesuwając dłońmi po jej ramionach.

Wspięła się na palce i szepnęła mu do ucha:

- Ty też... Ale jakie to ma znaczenie? Z trudem odwrócił od niej wzrok.

- Muszę zamknąć okiennice - rzekł szorstko. - Włączymy wentylator pod sufitem i wyschniemy.

- Zostaniesz ze mną? Myślałam, że chcesz się mnie pozbyć ze swego życia.

- Nie zaczynaj! - warknął, znajdując się niemal na krawędzi obłędu. Jak mogła się z nim droczyć, gdy umierał z tęsknoty za nią?

- Dobrze. Ale nie zamykaj okiennic, chcę jeszcze popatrzeć na burzę.



- W takim razie popatrzę razem z tobą. - Objął ją. Mocno.

Posłała mu zapraszający uśmiech.

- Jesteśmy tylko we dwoje...

- Jesteśmy. Wołałaś mnie.

Miała na sobie tylko przemoczoną jedwabną koszulkę, którą tak łatwo mógłby z niej zedrzeć. Jego dłonie przesunęły się po jej drobnych piersiach, wąskiej talii, smukłych biodrach.

- Chcesz mnie? - szepnęła.

- Chcę cię mieć na zawsze - odparł z nieskrywaną gwałtownością. - I zaraz ci to udowodnię.

Jednym ruchem ściągnął z niej mokrą koszulę. Samanta przyłgnęła do niego, gdyż nogi się pod nią ugięły.

- Moja piękna, najpiękniejsza...

W jego głosie usłyszała tyle czułości! Poddawała się bez reszty słodkim pocałunkom, rozchyliła usta, dała mu się smakować, poznawać.

- Chcesz mnie torturować? - jęknął.

- Nie! Chcę cię kochać.

Porwał ją na ręce, zaniósł do łóżka i rzucił na nie, pragnąc do niej dołączyć, pragnąc, by otworzyła przed nim duszę i serce, stała się z nim jednością.

- Chodź do mnie - poprosiła. - Chodź, tak bardzo cię pragnę. Nie potrafię znieść, kiedy się na mnie gniewasz.

- Nie gniewam się na ciebie, tylko na siebie - wyznał, nagle zawstydzony swoim szorstkim postępowaniem.

- Pomogę ci - szepnęła, wyciągając ramiona.

Bronił się ostatkiem sił przed tą cudowną istotą, której ciało lśniło perłowym blaskiem w świetle błyskawic.

- Jesteś czarownicą!

- Twoją czarownicą. Tylko twoją.

- Będziesz musiała to udowodnić.

Zdarł z siebie koszulę i usiadł na brzegu łóżka, a wtedy Samanta usiadła za nim i oplotła go nogami.

- Kocham cię do szaleństwa. - Obsypała pocałunkami jego ramiona. - A ty mnie kochasz? Na początku nawet mnie nie lubiłeś.

Odwrócił głowę, by ją pocałować.

- Pragnąłem cię od pierwszego wejrzenia, o czym świetnie wiesz.

- Pamiętasz nasz pierwszy pocałunek?

- Cały czas. - Odsunął ją i wstał, by rozpiąć spodnie. - Chyba nie myślisz, że pozwolę ci bezkarnie prowokować mnie przez całą noc?

- Uwielbiam cię prowokować...

- No to ci się udało. - Szybko rozebrał się do końca. - Teraz moja kolej... - rzekł zmysłowym głosem, położył się i przygarnął ją do siebie. - Och, jak dobrze... Sam twój dotyk wystarcza, żebym zapomniał o wszystkich problemach. Kocham cię - wyznał z bezgraniczną czułością.

Serce podskoczyło jej do gardła.

- Możesz to powtórzyć?

- Kocham cię, Samanto.

- A ja ciebie. - Przytuliła go mocno.

- Mów jeszcze... Powiedz, że jestem dla ciebie najlepszy.

- Jesteś! - W zachwycie przesunęła dłońmi po jego ciele. - Poza tobą nikt nie istnieje.

- To dobrze, bo nigdy się tobą nie podzielę. Jesteś moja i tylko moja.

Miał wrażenie, jakby był zagłodzony prawie na śmierć. Pragnął tej jednej jedynej kobiety i nareszcie znajdowali się razem, a dręczące go przez cały tydzień demony znikły. Zaczął całować jej jasne ciało, przesuając się coraz niżej i niżej.

- Ufasz mi? - spytał, na chwilę unosząc głowę. Wsunęła palce w jego ciemne włosy, do oczu napłynęły jej łzy.

- Bezgranicznie.

- To dobrze, ponieważ chcę cię mieć na zawsze - wyznał zmienionym głosem. - Nie mogło mnie spotkać nic lepszego. Nigdy się ciebie nie wyrzeknę.

- Aż do końca życia? - spytała, już niczego przed nim nie udając.

Przytulił twarz do jej uda.

- Tak - rzekł cicho, lecz z takim przekonaniem, że zabrzmiało to jak przysięga.

- Niczego więcej nie pragnę.

Burza powoli zaczęła cichnąć, lecz nawet tego nie zauważyli. Samanta leżała z rozrzuconymi ramionami, jęcząc cichutko, gdyż Ross odnalazł językiem najwrażliwsze miejsce jej ciała. Na chwilę uniósł głowę, jego rysy były ściągnięte z pożądania.

- Gdyby cokolwiek ci się stało, życie przestałoby mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

- Dla mnie też nie ma nikogo innego - wyszeptała. - Jesteś dla mnie wszystkim.

- W takim razie powinniśmy się pobrać. Znieruchomiała, oczy zrobiły jej się wielkie.

- Ross? - wydusiła z siebie wreszcie.

- Wydawało mi się, że postawiłem sprawę jasno, najdroższa. Wyjdiesz za mnie, Samanto Langdon? Zostaniesz moją ukochaną żoną?

W oszołomieniu powtórzyła jego słowa, zaś Ross zaśmiał się, podciągnął się wyżej i oparł na łokciach, patrząc na jej twarz.

- Nie masz prawa odmówić.

- Sądzisz, że zamierzam?

- Jeśli masz ochotę na dalszy ciąg, nie odmówisz na pewno.

- Ależ zgadzam się! - zawołała, nie kryjąc zachwyty. - Tak, tak, tak!

- No to świetnie. - Położył się obok niej. - W takim razie załatwione.

- Nie do końca. Jeden z punktów umowy przewiduje dalszy ciąg...

- Oczywiście zamierzam jej dotrzymać. Najpierw twoja twarz... - Obsypał ją pocałunkami. - Potem twoja szyja... Nie, po co się tak spieszę? Twoje cudowne usta... - Minęło trochę czasu. - Twoje rozkoszne piersi... Och, jak reagują na mój dotyk... Twój gładki brzuch...

Całował ją coraz niżej, lecz to jej nie wystarczało.

- Chodź do mnie! - poprosiła, wyciągając ramiona.

- Nie płacz.

- Ja nie płaczę - powiedziała, zaprzeczając faktom. - Chodź...

Wszedł w nią jednym zdecydowanym ruchem. Dwa ciała. Jedna dusza. Rytuał uświęcony prawdziwą miłością.

Deszcz przestał padać, niebo znowu stało się czyste, z powrotem pojawił się księżyc i rzucił blask na ogród, na dom, na Isabelle i Davida, którzy spali przytuleni do siebie, nasytzeni słodkimi, pełnymi wzajemnego zachwyty chwilami miłości, oraz na Samantę i Rossa, którzy oddawali się sobie w namiętym uścisku. I tak ich losy splotły się na zawsze, a wspólna przyszłość dopiero się zaczynała.

